ŚWIAT I FINANSE.

WINCENTY HR. ŁOŚ.

ZE STARŻÓW PANI APPELSTEIN

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

w dwóch tomach.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni G. Centnerszwera.
143. Marszałkowska 143.
1897.

Ze Starżów pani Appelstein.

Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

			Rs.	kop.
Dzisiejsze małżeństwa	1	tom	1	80
Jeszcze małżeństwa	1	„	1	80
Wilma	1	„	1	80
Hrabia-Starosta	2	„	3	60
Jędrzek	1	„	1	20
Linoskoczka	1	„	2	40
Wczorajsi, Serya I.	1	„	1	50
Wczorajsi, Serya II, 1896	1	„	1	50
Nokturn Szopena	1	„	1	20
Tajemnica	1	„	1	20
Z różnych pułków	2	„	2	40
Zięciowie domu Kohn et C-ie II wydanie	2	„	3	—
Nera Polacca, 1895	1	„	2	—
Swąt, 1895	1	„	1	80
Hrabina, 1895	1	„	2	—
Aktorka, 1896	1	„	2	—
High-lie,-Doktor, 1896	1	„	2	—
Przy naszych dworach, 1895	1	„	2	—
Rezydenci, 1896	1	„	2	—
Ostatni, 1896	1	„	2	—
Historyczne To i Owo	1	„	2	—

POD PRASĄ:

Kaprys hrabianki.
Panna Starzyńska.
Chłop.
Portret.
Odrębna istota.
Parafianka.

Skład główny u G. Centnerszwera,
Warszawa, Marszałkowska 143.

WINCENTY HR. ŁOŚ.

ZE STARŻÓW

PANI APPELSTEIN

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

w dwóch tomach.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni G. Centnerszwera.
143. Marszałkowska 143.
1896.

Дозволено Цензурою
Варшава 12 Марта 1896 года.

Druk Józefa Sikorskiego. — Warecka 14.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Działo się to pod koniec świetnego karnawału roku 187... który doskonale pamięta ówczesne pokolenie wchodzącej w świat młodzieży.

Bal u hrabiów Rożniatowskich miał się ku końcowi. Tańczono z niesłychaną werwą białego mazura, prowadzonego przez słynnego w tym tańcu hrabiego Ka...

Na żadnej twarzy nie było znać zmęczenia; tancerze i tancerki wyglądali tak rzeźko i świeżo, jakby dopiero rozpoczęli pląsy. A matrony siedzące przy ścianach, zainteresowane żywo to powodzeniem, to niepowodzeniem swych córek, nie spostrzegały że przez szpary w adamaszkowych portyerach, wdzierało się światło dzienne i sprawiało niejednym to niemiłe wrażenie, jakie zawsze sprawia każdy niezgnębiony i nieznoszący rywala, despota.

I mężczyźni nawet nie czuli znużenia, będącego następstwem każdego użycia—i przyglądali się figurom mazura prowadzonego mistrzowsko, bo czuli może iż po tym prowodyrze, tego tańca już nikt tak nie poprowadzi; że po nich go już nikt takim może w Warszawie nie zobaczy.

— Pierwsze pary! – zawołał niemłody już hrabia Ka... po chwili pauzy, w której jednakże muzyka nie urywała, jakby się strasznie bojąc, by brak jej akordów nie przypomniał rozszalałemu towarzystwu rzeczywistości, t. j. dnia, szparkami w portyerach zwalczającego świateł setki i dopominającego się końca balu.

Na hasło „pierwsze pary,“ powiększył się gwar w sali balowej i przyległych pokojach.

— Pierwsze pary! — powtarzały sobie matrony, podnosząc się na fotelach.

— Pierwsze pary! — rzucali sobie i starsi mężczyźni, tłocząc się do drzwi, wstając z foteli, opuszczając nawet stoliki z kartami i kanapy w fumoirze.

Wszyscy spieszyli by zobaczyć pierwsze pary, bo w pierwszych parach tańczyły dwie panny Starża— panny, któremi się tej zimy zachwycała, skora jak żadne miasto, do zachwytów Warszawa, tak pochopna do tworzenia światowych bóstw, tak chętna do przewracania w głowach. Bo częściej moda i wypadek, niż rzeczywiste zalety, wydobywają ludzi na wierzch. Kapryśne są fale tego nieuchwytnego morza, jakiem bezsprzecznie jest salonowy wielkomiejski sukces.

Tej zimy panny Starża były *la coqueluche de tout Varsovie*, jak z odcieniem ironii mawiała pani hrabina Korońska.

Ale i ona przybliżyła lornetkę do oczu i przyglądała się tym dwom kobietom, którym powodzenie może dawało właściwie to, co daje powodzenie—tę pewność siebie, ten tryumfujący wygląd królewien balu.

Tańczyły w dwóch pierwszych parach, bo tak chciał hrabia Ka... adorator płci pięknej, mimo swych pięćdziesięciu lat; bo tak pozwalała moda, robiąca jedynie najniesłychańsze wyjątki w tym świecie hołdownictwa formom i przesądom.

Panny Starża więc tańczyły przeważnie tego karnawału w pierwszych parach i to zdwoiło jeszcze ich sukces.

Podobne do siebie, były rzeczywiście piękne, choć o piękniejsze nie trudno było w tym samym salonie.

Ale panny Starża miały na skroni ten niewidzialny dyadem, który na wybrane czoła kobiet nakłada moda, i miały poklask podwajający urok kobiety już uznany i rozgłośny.

Były to smukłe i rosłe brunetki o pięknych figurach i one to sprawiały, iż nie mogły być niezauważone. Rysy ich dalekie od klasycznej regularności, miały droższą dla kobiety od niej delikatność, kapryśnego, ale mimo to poprawnego rysunku. Oczy czarne i głębokie, zdobiły te podobne do siebie główki,

przecudnie osadzone na łabędzich szyjach, a marmurowych i pełnych biustach.

Były to nie przepiękne, ale jak hrabia Ka... mówił: „niesłychanie efektowne i paradne panny.“

Były to wyjątkowo wybitne zjawiska, a ta wybitność tkwiła w ich nieuchwytnie subtelnym aplombie salonowym, złożonym z setek odcieni. Śmiałość spojrzenia, dumny ruch głowy, pyszny chód królewny i czarujący uśmiech niewieści—cechowały jeszcze więcej młodszą pannę Starża, noszącą imię Ireny. Używała też ona większego od siostry powodzenia, po części może i dla tego, że starsza panna Starża zaręczoną była od kilku tygodni, tańczącemu z nią w tej chwili Janowi Jeziołowskiemu, młodzieńcowi o obliczu promieniejącem szczęściem.

Irena była zaś wolną, a kroniki salonowe głosiły, że dzisiaj dała dziesiątego kosza w tymże karnawale.

I o tem to właśnie w tej chwili, lornetując śliczną Irenę, zdwajającą swój urok w mazurze tańczonym z niezrównanym wdziękiem, mówiła hrabina Korońska ze swym nieodstępnym, gdy raczyła mówić, Bywalskim.

— Bo powiedz mi pan—cedziła swym paryskim akcentem, a połatanym francuzczyzną językiem — co skłania tę pannę Starża do niekorzystania z daru ślepej fortuny, której tego karnawału przyszedł dziwny kaprys wysypania rogu obfitości na obie te... panienki. *Elles ne sont pas mal*, ale... ale na przyszły rok się

opatrzą i wyjdą z mody... Będzie polować za tymi, którym tej zimy poodmawiała. Starsza miała więcej rozumu...

— *Certainement comtesse*—bąknął Bywalski, zakładając monokl.

Hrabina usiadła i wskazując obok siebie miejsce towarzyszowi, ciągnęła:

— Pan, który masz przywilej mięszania się do wszystkiego, radzenia wszystkim i żyjesz dobrze ze wszystkimi,,powinieneś interweniować. *Vous devriez monsieur* Bywalski, wytłomaczyć tej panience, że się nie odmawia takich partyi, jak Łęski lub Sędzimirski, gdy się nie ma nic prócz swych czarnych oczu i zgrabnej figurki; gdy się jest... *enfin* tylko panną Starża...

— Ależ to doskonała prastara rodzina — obruszył się Bywalski, który nigdy nie mógł się oswoić ze sposobem traktowania najpoważniejszych szlacheckich nazwisk, przez utytułowaną arystokracyę. Może mu to zawsze boleśnie przypominało, że on sam był tylko Bywała-Bywalskim, bez żadnego hr. lub br. wreszcie.

— Nie przeczę, nie przeczę, ale... w naszym wieku i naszym świecie, panie Bywalski, nazwiska utytułowane, książęce, panujące są *rien de tout*, jeśli nie wymawiane z tym odcieniem uszanowania, które niestety mamy tylko dla złota...

— Ah! hrabino!

— Patrzę jasno na rzeczy, panie... Świat mnie taką być nauczył...

— Świat francuzki, dodaj pani.

— Nie! Świat warszawski w którym nie przewracacie się ze śmiechu, widząc w oknach klatki schodowej pałacu Rinberbergów herb „Topór odwieczny;“ świat warszawski, w którym próbowano rok temu, gdym się na jego horyzoncie zjawiła, udowodnić, że nie jestem prawdziwą hrabiną Korońską i nie byłam prawdziwą księżniczką Pilarską, bo znajdowano...

— Co znajdowano?

— Że za mało mam złota, by te dwa nazwiska nosić,

— Ah! pani.

— Nie przecz pan. Byłeś może pierwszy *à eu douter*, będąc Warszawianinem *par excellence.* Was złoto finansów zupełnie zgangrenowało. Niema już w Europie miasta, w któremby mniej wielki świat szanował swoje tradycye, a podlejsze złotu bił pokłony. *Ceci dit partous...*

Tu uśmiechnęła się tym odrębnym uśmiechem kobiety, która kiedyś czarowała pięknością, a rozumem czarować jeszcze pragnęła i podchwyciła:

— Szczęście, fortuna lepiej powiedzmy, zawsze prawie każdemu z nas podaje swą rękę z rogiem obfitości, za którym gonimy. Tylko my nie wiemy o tem a rogu nie widzimy. Powiedzże pan tej pannie Starża, że tej zimy, owa ślepa dama ją sobie wybrała. Powiedzże jej pan, że ta dama długo przy nikim się nie zatrzymuje i długo nie czeka, by uchwycono rękę którą wyciąga... Powiedzże jej pan to, jeśli masz dla

niej cokolwiek życzliwości, a jesteś przecież jej admitratorem i podobno przyjacielem domu Starżów...

— Powiedzieć, by wyszła za Sędomirskiego? Ależ ona lepszego warta. Ależ ona, przypatrz się jej pani, potrzebuje dyademu z brylantów, jak ten który pani masz, i pereł na szyję... a Sędomirski szlachcic na...

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się hrabina. — Więc czekać będzie na tego księcia z powieści, który ozdobi jej skronie?...

— Będzie czekać... — odparł Bywalski, którego, jako przyjaciela Starżów, obruszył śmiech hrabiny.

— To się nie doczeka!—zawołała hrabina.—Widziałam wiele takich panien Starża, którym sukces najgorszą wyświadczył przysługę. — Tu wstała i kończyła: — Przepowiadam panu, iż *le prince de la fable* w Warszawie się nie znajdzie...

— A gdyby się znalazł?—mruknął najwidoczniej zmięszany Bywalski.

— Ha, ha, ha!—zaśmiała się znowu.—Jesteś pan naiwny. Seryo myślisz, że jakiś Branicki czy Potocki, Sanguszko czy Lubomirski, oświadczy się o pannę Starża?

— Dlaczegożby nie?

Hrabina spoważniała i wyraz niezadowolnienia przebiegł po jej rysach.

— Panie Bywalski, ależ niewolno tak nie znać swego świata! Jesteś wielkim augurem u Starżów i gotóweś unieszczęśliwić tę pannę na całe życie, jeśli ją karmisz *des ces ideé la.*

Bywalski wstał i zakonkludował:

— Jest godną dyademu i dyadem mieć winna.

— A więc go dostanie w Warszawie chyba z rąk jakiego *steina* lub *berga*...

— Ah! Pani.

— Nie widzę innego sposobu — odparła hrabina i odsunęła się od Bywalskiego.

Ten pozostał zamyślony. Rozmowa ta go zastanowiła.

— Kto wie—myślał—czy w słowach hrabiny nie tkwiło wiele prawdy. Irena upojona sukcesem, mogła się przerachować...

Długo dumał, aż wreszcie się otrząsnął.

— Ależ nie... to niemożliwe. Irena potrzebuje majątku, dużego majątku, Sędomirski... nie?

Polubił tę pannę i interesował się nią może więcej wskutek swego stanu starokawalerskiego, potrzebującego protegować i admirować, niż w skutek swego bardzo dalekiego ze Starżami pokrewieństwa.

Ta ostatnia złośliwość hrabiny go obruszyła. Co za myśl, by Irena miała nie znaleźć partyi, tylko pod postacią kogoś z finansów. Cóż tę myśl hrabinie dało? czy to, że młody Appelstein kręcił się koło panny Starża?

Bywalski powiódł po sali oczami i odszukał w niej Irenę.

Siedziała na taborecie. Po prawej stronie miała młodego hrabiego Korońskiego, którego słuchała z widocznem roztargnieniem—czy dlatego może, że ją

wciąż zagadywał Appelstein, siedzący po jej lewicy i wpatrzony w nią wzrokiem pełnym uczucia i namiętności.

Bywalski zastanowił się. Wyraz twarzy Ireny zdawał mu się być innym niż kiedykolwiek i tak indywidualnym, iż jego niezbyt głęboką psychologię przykuwał.

Panna Starża wyglądała znudzona i zawiedziona: jej spokojny wzrok spoczywał na twarzy pięknego Korońskiego, syna hrabiny i zdawała się go badać z intensywnością myśli, usiłującej coś odgadnąć. A to co odgadnąć pragnęła, znała już prawie, tylko sobie tego przyznać nie chciała. Tyle zaobserwował Bywalski i to mu wystarczyło by się zatrwożyć. Ten bal był ostatnim balem tego karnawału. Czyżby Koroński, na którego wiedział, że rachowano, nie oświadczył się? Irena była nim zajęta. Pani Starża, obracająca może ostatki swych niegdyś dużych funduszów na ten właśnie karnawał w Warszawie, pragnęła gorąco wydać swe obie córki. Liczyła też na Korońskiego. A najwięcej może nań liczył młody Starża, brat Ireny, mężczyzna lat blizko trzydziestu, który pragnął wyjścia za mąż swych sióstr, aby mu te ułatwiły czy to bogate ożenienie się, czy też życie takie, jakie mieć pragnął. A potrzebował on przedewszystkiem pieniędzy, bo lubił namiętnie to tylko, co pieniądze dają.

Gdy też on stanął w myśli Bywalskiemu, posunął się by go odszukać i zasięgnąć języka. Na tym

balu bowiem rozeszła się była pogłoska, że Irena odmówiła Sędomirskiemu, a Bywalski nie wiedział, ażali to było prawdą, lub salonową bajką tylko.

Edward Starża bawił w przylegającym do sali tańców salonie i co chwila opuszczał grupę kilku rozmawiających mężczyzn, by zbliżyć się do drzwi sali i gorączkowem okiem rzucać w stronę, w której Irena z Korońskim i Appelsteinem ściągała jego uwagę.

Młodzieniec ten równie jak siostry przystojny, wysoki, barczysty, blondyn, typ polskiej, szlacheckiej, junackiej, mężkiej piękności—dzięki modzie, używał też tej zimy niepomiernego w Warszawie sukcesu.

Ale teraz nie wyglądał nim upojony, ani zabawą oszołomiony. Owszem, jakiś twardy wyraz mienił się w jego raczej wesołych rysach, jakieś widoczne niezadowolnienie burzyło jego gorącą krew.

Bywalski stanął przy nim w chwili, w której tenże zagryzając delikatne blond wąsy, zamierzał opuścić dopiero co zajęte obserwacyjne stanowisko.

— Powiedz mi Edwardzie—zagadnął—czy jest w tem coś prawdy, co głoszą dzisiaj?

— W czem?

— Że twoja siostra odmówiła Sędomirskiemu?

— Albo ja wiem — obruszył się, jakby hamując wybuch, Edward Starża — albo ja wiem co ona myśli i komu odmawia? Warszawa przewróciła jej w głowie. Nikt się dotąd o nią nie oświadczył, choć kroniki głoszą o dziesięciu, nikt! bo jest głupią gęsią! Ot patrz teraz, siedzi między dwoma. Czy myślisz, że

z tego co będzie? Nic! Sukces ją upoił—mówił cicho ale z wybuchem.

— Przesadzasz — szepnął Bywalski, wsuwając swą rękę pod ramię Starży i probując go uprowadzić. Z rozdrażnienia młodzieńca pragnął skorzystać i dowiedzieć się tego, co przed nim nawet, jako przyjacielem domu, widocznie ukrywano. On był przekonany, że panna Starża dała dziesięć koszów tej zimy, a tu się dowiadywał...

— Nie przesadzam—odparł Edward.—Nie widziałem tak głupiej gąski, jak Irena. Na seryo bierze swój salonowy sukces, a przytem ten nieszczęśliwy sentymentalizm!... Chciałaby w jednej osobie księcia, milionera i kochanka. Ona jest głupszą od gąski. Ot! patrz teraz, siedzi między dwoma. Gdyby była sprytną i trochę kokietką, a mniej sentymentalną, toby już się był oświadczył Koroński... byłaby go do tego zmusiła. Gdyby była przynajmniej mądra, jak inne panny, toby się oświadczył Appelstein... A ona za chwilę wstanie z niczem, bo jej głupia ambicya nie pozwala zmusić Karola do oświadczenia się, a przewrócona głowa i sentymentalizm nie chcą, by się oświadczył Appelstein...

— Więc byłbyś i za Appelsteinem? — zapytał szeptem Bywalski.

— Dla czegóżby nie — mruknął Edward. — Widzisz jak lubi toalety, zabawy, jak ją odurza świat. Wszystkiego mieć na świecie nie można. Gdy się jest za głupią, by złapać hrabiego i milion, to się bierze

trzy miliony u dyabła i robi się bardzo prosty rachunek: milion zamiast tytułu, drugi milion za milion, a trzeci za żyda. *C'est simple comme bonjour, et le compte y est.*

W tem muzyka urwała. Powstało zamięszanie, tylko Bywała Bywalski długo jeszcze stał w miejscu, popychany i potrącany przez cisnące się z sali tańców tłumy.

Smutno mu było, temu wytrawnemu salonowcowi na myśl, że widocznie Koroński bałamucił tylko Irenę.

II.

Bernard Appelstein był pierworodnym synem Salomona Appelsteina, który założywszy w Warszawie poważny dom Appelsteinów, powoli, w tej epoce właśnie schodził z tego świata w bardzo już podeszłym wieku. Czystej krwi potomek warszawskiego Izraela, był nie bez pewnych zasług dla społeczeństwa polskiego, które w satyrycznym wierszu zasługi te niejako upamiętniło. W swoim czasie, lat temu wiele, gdy Salomon Appelstein był w sile wieku, jakiś dowcipniś puścił w kurs ten czterowiersz, będący niejako pamiątką popularności pana Salomona:

Kto nie kocha Łubieńskiego, synów i wnuków jego,
Kto nie kocha pani Łackiej i Łackiego,
Kto Appelsteina nie kocha.
Ten nie wart ziarnka grocha.

Gdy ten wiersz się na bruku warszawskim rodził, Appelstein był u zenitu powodzenia. A działo się to w czasach, w których się nie słyszało o świecie finansowym, ale w których znajdowali się już finansiści. Były to lepsze dla nich czasy. Appelstein prawie bez rywali, łatwo, dla siebie wyłącznie zagarniał złotodajne interesa, które nietylko w tych okolicznościach pozwoliły mu robić krocie i miliony, ale nadto dawały możność przysłużenia się społeczeństwu i zyskiwania rozgłosu człowieka wyjątkowych zdolności i talentów.

Cały olbrzymi majątek i tę spuściznę, zasługi i tę firmę niby nietkniętą żadnym szwindlem, pozostawiał swoim synom, z których starszego Bernarda poprostu ubóstwiał. A ubóstwiał go dlatego może, że o ile młodszy ze swym krogulczym nosem był do niego podobnym, o tyle Edward przedstawiał całkiem odmienny typ i niczem nie przypominał swego pochodzenia, którego wprawdzie stary Appelstein się nie wstydził, ale o którem zapomnieć wolał.

Stary pan Salomon bowiem, żyjąc całe życie wśród arystokracyi polskiej, z którą go wiązał ten potężny węzeł, jakim jest duży majątek i wypływające zeń okoliczności, marzył o złączeniu i zespoleniu się z tem społeczeństwem, do którego należał. To społe-

czeństwo nie zamykało przed nim drzwi, owszem, ceniło jego finansową głowę, lubiło jego dowcip, uznawało jego zasługi, bo widziało w nim tylko zdolnego i uczynnego bankiera, a nie reprezentanta kasty, mogącej się stać niebezpieczną dla jej żywiołu. Widziało w nim wyjątkową jednostkę, a nie klasę; widziało Appelsteina, a nie członka nieistniejącego wtedy, chciwego i wyzywającego świata finansowego.

I stary pan Salomon zestarzał się w przekonaniu, że następne pokolenie, to jest to do którego należeć będzie jego pierworodny, zapomni zupełnie o jego pochodzeniu i że tenże zajmie już w Warszawie bezsprzecznie stanowisko, jakiego jemu jeszcze zająć nie pozwalała zbyt dobra pamięć ludzka, pamiętająca może samego pana Salomona, jak chodził dzieckiem po Warszawie ze swym rodzicem, właścicielem spacerującego sklepiku.

I stary pan Salomon powoli schodził ze świata w tem naiwnem przekonaniu, bo już był za starym, by zauważyć że od czasów, w których dowcipny wierszokleta odsądzał od czci tego, coby go nie kochał, dużo się zmieniło i dużo przeinaczyło. Stary pan Salomon nie widział już, że o ile dawniej był lubionym bankierem, o tyle teraz był członkiem jakiejś nagle powstałej klasy, która tem silniejsze ściągała pociski i obudzała nienawiści, im więcej stawała się potężną i zagrażała dotychczasowemu porządkowi.

Stary Appelstein już tego nie widział i dziwił się tylko, dlaczego Bernard nie daje mu wnuka

o złoto-blond włosach, o zadartym nosku i o szerokiej wardze, stworzonej do zawiesistego i strzępiastego wąsa.

Trapił się stary bardzo i nie pojmował, i głupiał niemal w swem zdziecinnieniu lat ośmdziesięciu.

— Co to ma znaczyć? co to ma znaczyć—pytał— że Bernard, taki piękny i bogaty Bernard, nie znajduje żadnej szlachcianki.

Bo gdyby marzył o księżniczce, toby może jeszcze zrozumiał niepowodzenie syna, ale on marzył tylko o szlachciance z obywatelskiego, porządnego domu. Stary Appelstein miał całe życie słabość do obywatelskich porządnych domów.

Ta słabość z wiekiem przeszła w manię, i gdy się zestarzał, gdy stracił pamięć, gdy stracił nawet zdolność rachunkową i spryt do interesów, gdy prawie zdziecinniał, to pamiętał jeszcze, że Bernard ma się ożenić z panną, pochodzącą z zacnego polskiego starodawnego domu.

Dnia tego, a było to nazajutrz po balu u Rożniatowskich, siedział w swym gabinecie i czekał niecierpliwie przybycia syna, który zwykle pierwszą wizytę mu składał. A czekał jej tem niecierpliwiej, że tej zimy się staremu ubrdało, że syn jego musi się ożenić. Czuł, że się w nim ostatnie zapasy życia wyczerpywały, że gasła lampa jego żywota, a nie mógł się pogodzić z myślą, by miał zejść z tego świata, nie zabierając z sobą pewności, że dom jego się rozrośnie

i rozmnoży, że skarby w nim przezeń nagromadzone, posłużą do rozkrzewienia rodu Appelsteinów.

Czekał na Bernarda. Tenże był mu kilka razy tej zimy powiedział, że dołoży wszelkich starań, by zadość uczynić gorącym marzeniom rodzica. A młodszy syn jego, Jakób, też mu się zwierzył, że nie próżno Bernard był tak stałym i gorliwym uczestnikiem balów tego świetnego karnawału.

Dnie i noce więc spędzał stary pan Salomon, marząc o Irenie i usiłując ją sobie wyobrazić, usiłując przeniknąć przyszłość, której ciekawością, może już jedynie od lat kilku, żył.

Z uderzeniem godziny dziewiątej wszedł Bernard, a oblicze starca się rozpromieniło, ale na sekundę tylko. Młody milioner wyglądał zmęczony i zafrasowany. A był to już skończony mężczyzna, mogący liczyć przeszło lat trzydzieści, o rysach na pierwszy rzut oka, bynajmniej nie semickich. Przypatrzywszy się jednak uważniej tej twarzy, uderzała tryskająca z niej namiętność, jakby dzika i niepohamowana, szczególnie w małych, siwych, gorących i migotliwych oczkach uwydatniona. Zresztą Bernard Appelstein był dobrej budowy ciała, a zarost obfity, bo nosił wąsy i faworyty, miał zbyt jasny, co czyniło starszą jego fizyognomię. Zdala mógł się wydać siwym lub siwiejącym. Nie będąc brzydkim, nie był przystojnym, ale w świecie warszawskim, w którym typ semicki silnie zawsze u jego synów występował, mógł raczej uchodzić za każdego, niż za Appelsteina,

syna pana Salomona i panny Rotbeer, która w swoim czasie z powodu wybitnego typu, by nie psuć obywatelskiej pozycyi mężowi, nigdy się nawet u siebie nie pokazywała.

Stary pan Salomon to widział i tem więcej kochał Bernarda, którego oblicze nie stawało na przeszkodzie jego ambicyom. Radość na widok syna, zaraz zniknęła i zapytał z pośpiechem:

— Bernardzie, co tobie?

— Nic, drogi ojcze — odparł syn i uściskawszy staruszka z czułością pospolitą w tym świecie, szanującym lepiej od naszego węzły rodzinne, dodał: — Bal wczorajszy się bardzo późno skończył. Nie spałem więcej niż dwie godziny.

Nastało milczenie.

Stary wpatrywał się w oblicze syna i chciał zeń coś wyczytać, coś, co czuł że go trapi. Bernard unikał ojcowskiego wzroku i bawił się nożem od przecinania papieru.

— I nic?—nagle zapytał grobowym głosem stary Appelstein.

Bernard się ocknął.

— Owszem! oświadczyłem się—wykrztusił z widocznem cierpieniem.

Pergaminowe oblicze starca pokryło się jakby woskiem.

— I? Iiii...

— Nie odpowiedziała mi nic...

— Nic?

— Nic... nie wiem co mam dalej począć?

— Jakto?

— No! nie wiem... nie wiem...

Stary westchnął i opuścił głowę na piersi, by na bardzo długo się zadumać. Nagle się obudził i zawołał:

— A więc raczej jesteś przyjęty?

— Nie wiem.

— Niema jedynego na świecie, mój Bernardzie, wypadku. W twoim więc wypadku cóż się robi? Ja ci poradzić nie mogę... Ja... U nas... Za moich czasów...

Machnął ręką i nie skończył.

Syn podchwycił:

— Myślę też nad tem. Wypadałoby znaleźć kogoś, ktoby się za mnie o odpowiedź upomniał.

— I o takiego kogoś ci trudno?

— Nie znajduję...

— Czyż to możliwe?

— Nie znajduję...

— Ha, ha!—zaśmiał się stary—wydajesz rocznie sto tysięcy rubli na przyjaciół i nie masz ani jednego?

— Zaczekaj ojcze, poszukam. To rzecz nie łatwa. Tu potrzeba kogoś, ktoby wpłynął, jeśliby zaszła potrzeba.

Stary kiwnął głową, rozumiał to widocznie i uznawał.

I nastało znów długie milczenie, aż zniecierpliwiony pan Salomon je przerwał.

— Wyglądasz, jakbyś wątpił o sobie, a Jakób mi mówił że ci Starżowie nic nie mają, że gonią resztkami, że młody Starża...

— To żadna racya.

Stary się obruszył.

— To duża racya. Od dzieciństwa nie umiałeś się cenić. Reprezentant firmy Appelstein...

— Ależ mój ojcze. To przecież nie giełda.

— Wszystko na świecie jest giełdą, mój drogi Bernardzie — odparł przytłumionym tonem, spostrzegając że drażni syna.

Nastało znów milczenie i znów je przerwał pan Salomon.

— Jeszcze szukasz?

— Szukam.

— A ten Bywalski?

Bernard milczał.

— Ten Bywalski, który nie opuszcza żadnego u ciebie obiadu, który cię kocha, gdy przyjmujesz bankierów i gdy przyjmujesz szlachciców, którzy...

— Ależ Bywalski jest ich krewnym, może mi być przeciwnym.

— Przeciwnym? przeciwnym tobie, który mu dałeś czterdzieści tysięcy na oczyszczenie jego majątku w tych błotach?..

— Ależ mój ojcze, nie mówmy o pieniędzach. On wziął czterdzieści tysięcy, a dziś zamiast mi pomódz, może mi stołka podstawić.

— Dlaczego?

Bernard ruszył ramionami i do najwyższego stopnia zniecierpliwiony, nic nie odparł.

Ale i stary Appelstein był zniecierpliwiony: wydawało mu się, że syn jego mówił od rzeczy. Firmy „Appelstein“ nie brał zupełnie w rachubę, a Bywalskiego zwalniał ze wszystkich obowiązków, mimo aktu hipotecznego czterdziestu tysięcy, który się musiał znajdować w kantorze.

Powstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju, by co chwila nad synem przystawać i o coś go pytać, lub mu coś radzić. Doprowadzał tem widocznie do rozpaczy młodego mężczyznę, który nie wiedział jak wyjść z trudnej pozycyi. Oświadczył się był wczoraj Irenie w niefortunnej chwili, gdy mazur się kończył, gdy Koroński coś jej szeptał. Wprawdzie spojrzała nań w odpowiedzi zdziwionym, zdawało mu się, wzrokiem, i miała już otworzyć usta, gdy hrabia Ka... wezwał wszystkie pary do ostatniej figury i Koroński porwał Irenę.

Co teraz miał począć? czy czekać nowego spotkania, czy iść za przysłowiem *qui tacet consentire videtur*, czy może... użyć rzeczywiście jedynego Bywalskiego? Ale ten jedyny Bywalski tak mu się wydawał do tej misyi nieodpowiednim... Gdyby jeszcze panna Starża nie była jego daleką kuzynką... Ale w tym stosunku, nie wierzył w jego życzliwość, nie wierzył by Bywalski pragnął go mieć powinowatym, ten Bywalski, który gotów był się z nim nie rozstawać, gdy po obiedzie pito zamorskie likiery i palono cygara.

A Jesiołowski, ten galicyjski szlachcic, pochodzący z kraju w którym nie znano finansów, w którym jak słyszał, nie spotykano na lekarstwo w salonach *steina*, *berga* czy *standa*.

Pracował wytężająco myślą, ważył *pro* i *contra*, ważył tem namiętniej, że się kochał w pannie Starża, o czem zapewne ojciec jego nie wiedział—gdy znów przystanął i upartem milczeniem syna zniecierpliwiony, zaczął:

— Bo ty jesteś głupi, mój Berdziu, ty jesteś głupi, przypuszczając, że ci Starżowie mogą być nieuszczęśliwieni z twego wyboru. Cóż ci oni zarzucić mogą? Jesteś młody i przystojny. Cóż ci oni zarzucić mogą? Żeś nie jest wyedukowany? Wszakże z odznaczeniem skończyłeś uniwersytet, a Jakób mi mówił, że Starżę wypędzili z piątej gimnazyalnej...

Bernard zakrył twarz dłońmi i usiłował ojca nie słyszeć, a dalej błądzić w labiryncie swych myśli. Ale stary ciągnął, pragnąc mu dodać otuchy, jakby małemu dziecku, jakiem zawsze dlań był reprezentant milionowej firmy.

— Czy może nie jesteś obywatelem? Jesteś nim, jesteś w każdej gubernii, w każdym niemal powiecie. Czy może nie masz tytułu? To go sobie kupisz, jak Kronberg lub Hildeck. Czy może nie masz zasług za sobą? To im przedstaw moje. Ze sto takich starych rodów jak oni, uratowałem od zagłady, a nazwisko Appelstein zapisane będzie i jest już w niejednem miejscu. Niech idą do gmachu Towa-

rzystwa Wielkiego Kredytu, tam je zobaczą wyryte złotemi literami na białym marmurze, między nazwiskami Oleśnickich i Ostojów. Niech zobaczą akt fundacyjny Towarzystwa...

Tu Edward ryknął z niecierpliwości i cierpienia fizycznego, ale stary nie dał się zbić z tropu i tocząc tylko wątek myśli, podchwycił:

— Czy jeszcze nie jesteś dość bogatym, czy nie jesteś? Cóż ci oni zarzucić mogą?

Urwał, bo młody Appelstein się zerwał odkrywając szkarłatne z rozdrażnienia oblicze i zawołał:

— Że jestem żydem!

Stary pobladł i drżącą dłonią zaczął szukać krzesła po za sobą, uginając się i chyląc, a Bernard wybiegł z komnaty jak szalony.

III.

O tej samej porze w rodzinie Starżów panował największy zamęt, wywołany niespodziewanym wypadkiem. Rachowano na pewno, że Koroński oświadczy się o Irenę, gdyż zachowanie się młodzieńca do tych rachub upoważniało.

Panna Starża tą nadzieją wiedziona, może zbyt

wyniośle traktowała zbliżającą się młodzież i odsunęła rzeczywiście Sędomirskiego, który próbował starać się o jej rękę.

O godzinie jedenastej pani Starża wezwała do swego pokoju syna i starszą córkę. Doniosłość tego wezwania zrozumieli oni, bo stawili się natychmiast i odgadli z fizyognomii matrony, że ma coś bardzo ważnego i niespodziewanego do zakomunikowania.

Pani Starża była to nad wszelki wyraz sympatyczna kobieta, przedstawiająca znikający typ polskiej matrony. Nie stara jeszcze, miała ślad piękności na twarzy i tej wyniosłości którą przekazała dzieciom.

Wyraz tryumfu i dumy, który zdobił jej córki, nie igrał już na jej twarzy, ale zastąpiony został odcieniem, z wiekiem, w konsekwencyi z tamtego wypływającym. Z fizyognomii tej kobiety odgadywało się całą jej przeszłość, spędzoną w dobrobycie, pod troskliwą opieką męża, w oddaniu się rozrywkom i obowiązkom. Te jednak równomiernie podzielone, płynąc regularnem i pełnem korytem, nie zarysowały na jej twarzy ani jednej zbyt ostrej zmarszczki, nie wykrzywiły jej ani jednym przesadzonym konturem. Oblicze to opowiadało dzieje cichego, ale pełnego żywota, utrwalił się bowiem na nim wyraz pogody, i jaśniał w oczach, ruchach i całej postawie.

Sprawiała wrażenie wydelikaconej oranżeryjną atmosferą rośliny, którąby już teraz ostry podmuch swojskiego klimatu łatwo mógł zmarnować.

Gdy Edward i Ewelina przywitali matkę, ta się odezwała:

— Nie domyślacie się, co zaszło?

— Koroński się oświadczył?—zawołała pytając, przyszła pani Jesiołowska.

Edward milczał.

— Nie—podchwyciła pani Starża z jakimś tragicznym odcieniem w tonie głosu, odbijającym od spokoju jej fizyognomiii. — Koroński się nie oświadczył, ale oświadczył się Appelstein!

Panna Ewelina wybuchnęła śmiechem, który coprędzej powstrzymał Edward.

— Z czego się śmiejesz?

— *Cest pourtant très drôle!*—zawołała zmięszana Ewelina.

— Przeciwnie — odparł siadając, jakby do długiej konferencyi—ja znajduję, że to bardzo poważne.

Nastąpiło milczenie. Pani Starża usiłowała wyczytać coś z fizyognomii dzieci, z któremi łączył ją raczej przyjacielski niż macierzyński stosunek. Przywykła była zasięgać od śmierci męża ich zdania w każdym wypadku, i działać odpowiednio do decyzyi tego kółka. W niem najwidoczniej przeważał wpływ Edwarda, bo na niego zwróciły się oczy obydwóch kobiet. On jednakże długo milczał i szarpał wąsa, zerkając z ukosa na matkę, lub na siostrę. W duszy jego wrzało. Wychowany w pojęciach staroszlacheckiej, możnej rodziny, zepsuty obywatelskiem, wiejskiem wychowaniem, a sparaliżowany ruiną majątkową, którą

powoli od śmierci ojca zagrożoną codzień wyraźniej i bliżej widział, znajdował się w tej chwili w dziwnem zamięszaniu swych pojęć. Z zachowania się Korońskiego był pewny, że tenże się oświadczy o rękę siostry.

Schlebiało to jego próżności, której zarody, w każdym młodzieńcu jego pokroju tkwiące, łatwo w szalony płomień rozdmuchał popsuty i hołdujący małostkom, jak żaden może, wielki świat warszawski. A próżność była tu w grze z innemi żywiołami. Młody Starża chciał się utrzymać przy dziedzicznym, dużym, ale zachwianym radykalnie majątku. Mógł to tylko uskutecznić, wydając majątkowo świetnie obie siostry. Ewelina nie popsuła jego rachub, zaręczając się z Jesiołowskim. Ale ten obywatelem nie był dość zamożnym, by Edward mógł nań liczyć jako na restauratora dużej, zaszarganej fortuny. Całym więc ciężarem swych nadziei spoczął na Irenie, uważając ją za odpowiedniejszy materyał z jednej strony do zrobienia partyi, a mniemając o Korońskim, którego matka od roku zadziwiała Warszawę arystokratycznym blaskiem, iż był bardzo majętnym. Prócz tego wszystkiego ambitny, a raczej próżny, Starża marzył o świetnem dla siebie małżeństwie. Nikt mu w tem nie mógłby skuteczniej dopomódz, od siostry ubóstwiającej go, a łączącej się z człowiekiem, mającym za sobą pańskie alianse i pańską pozycyę.

To wszystko błyskawicą przelatywało mu po głowie i doznał wrażenia, jakby się coś w nim waliło.

A bo też się waliło rusztowanie budowli jego próżności.

Appelsteiu?... Appelstein realizować mógł tylko cząstkę tych ambicyi, które w nim tego karnawału tak potężnie zagrały. Appelstein mógł mu tylko dać pieniądze, a za te pieniądze z iluż pragnień i aspiracyj rezygnowaćby musiał.

Zoryentował się prędko i zapytał!

— A Irena?

— Irena? Irena! — odparła pani Starża, wzruszając ramionami — jest zdziwioną; już trudno, by innemu mogła ulegać wrażeniu. Wszakżeśmy wszyscy myśleli, że się oświadczy Koroński...

— Ha, ha! — zaśmiał się Edward z goryczą, która zastanowiła obie kobiety, nie mające nic w sobie żółci, i zapytał. — Cóż mu odpowiedziała?

— Nic!

— To nie wiele.

Po długiej pauzie znów zapytał:

— Cóż mu odpowie?

— Na to was wezwałam.

— Przecież my za nią odpowiadać nie będziemy.

Tu obruszyła się panna Ewelina.

— Dziwnym jesteś Edwardzie i nie rozumiem cię. Właśnie trzeba nam obmyśleć odpowiedź i jej formę. Wszakże chodzi o formę tylko... Irena przecież za Appelsteina nie wyjdzie.

— Tak sądzisz? — podchwycił, cedząc wyrazy Edward.

— Tybyś sądził inaczej?

— Chyba.... Appelstein jest partyą, jest olbrzymią partyą i mówić o nim...

— Czyś ty zwaryował? — zawołała wzburzona kobieta.

— Nie. Tylko sądzę że Irena, jeżeli cokolwiek swoją pozycyę rozumie, jeśli ją rozważy, jeśli weźmie pod uwagę tysiące tych i owych względów, to w każdym razie z odpowiedzią się wstrzyma i nie da jej, stanowczej, tak rychło.

Słowa te były niejako radą i wskazówką działania dla obu kobiet, które się widocznie pozwalały Edwardowi teroryzować. Pani Starża pierwsza uległa, szepnęła tylko:

— Ktoby się był spodziewał...

Ale Ewelina wytrzeszczyła zdumione, załzawione oczy na brata. Ona nie wiedziała czy tenże jest za Appelsteinem. A jeśliby był za nim, to ona jedna wiedziała, czego się spodziewać od niedalekiej przyszłości. Wszakże Irena czuła i sądziła tylko przez brata.

Struchlała, bo z trudnością dobyła tchu, by zawołać:

— Edwardzie! Czy żartujesz?

— Bynajmniej!

— Więc uważasz, że Appelstein może zostać mężem Ireny?...

— Moja droga... Wy kobiety bierzecie wszystko inaczej, niż rozum każe. Hołdujecie złotu, jak nikt, potrzebujecie go masami na stroje, na życie w świecie

które jest tylko waszym elementem, a uważacie za nieszczęście, gdy wam ktoś u nóg składa miliony... i uważacie to za wypadek, niepotrzebujący nawet rozwagi i zastanowienia, czy przyjąć lub nie.

— Czyś ty zapomniał, jak papa nienawidził...

— Nie zapomniałem nic.

— Ty gotów jesteś namawiać Irenę?

— Namawiać, ani odradzać nie będę i uważam, że to jest jedynie odpowiednią dla mnie i dla was rolą. Tu nie trzeba widzieć Appelsteina, tylko to wszystko, co on za sobą daje. Ty jesteś młodą, szczęśliwą i nadto kobietą, aby nie zrozumieć właśnie, co to jest majątek taki jak Appelsteina... co jest taki majątek, i jak tracą przy nim na znaczeniu różne drobnostki. Zresztą, są to zaświeże wypadki; idę ochłonąć, a wam to samo uczynić radzę.

Tu wstał i wyszedł.

Udał się do siebie: to wymagało rozwagi. On sam jeszcze nie zdał sobie sprawy z położenia rzeczy. Małżeństwo Ireny z Appelsteinem było wielkim szachem w jego partyi—a był on kiedyś zapalonym szachistą,—ale mogło nie prowadzić do mata... Trzeba mu było rozważyć *pro* i *contra* tej partyi, którą w tym wypadku zaczynał. Ani chwili nie wątpił, że co zechce, uczyni w rodzinie. Przywykł on do tego od śmierci ojca, gdy wypieszczone kobiety znalazły się same i w nim uznały wielkiego augura. W danym razie potrafi on wytłomaczyć Irenie, że Appelstein jest partyą jemu i jej potrzebną. Ale czy tylko wytłomaczyć jej

to, było posunięciem prowadzącem do wygrania partyi, nie szachów, lecz swego życia? Bo życia Ireny nie brał w rachubę. Ona go tak kochała, że i tak patrzyła, jak on chciał. Zresztą tak była dobrą! Gdyby jej tylko powiedział, że do swego szczęścia potrzebuje mieć szwagrem milionowego bankiera? Gdyby podziałał na nią swemi argumentami, opartemi na pewnym cynizmie, którego tyle nabył w świecie, zaprawionemi próżnością, której zapach jak morfina odurzał, wiedział to, i Irenę? Gdyby wreszcie jej otworzył oczy, rozwiał jej iluzye co do tylu innych, jak Koroński, co wywijali z nią hołubce, a pozwalali się oświadczać Appelsteinom... Gdyby roztoczył przed nią cały urok złota, przesunął przed jej bujną wyobraźnią tę panoramę balów które lubiła, toalet za któremi przepadała, pereł i brylantów, których zazdrościła pięknym lwicom salonów—kto wie, czy nie więcej od tytułów i nazwisk, brzmiących jeszcze lepiej niż Starża. Gdyby ją zmusił do przejrzenia trzeźwym wzrokiem?...

Usiadł na swym szezlongu i dumał: analizował pierwszy raz w życiu Irenę. Przypominał sobie szczegóły, które go zadziwiały samego tem, że mu w pamięci utkwiły. On Irenę uważał za takie dziecko, tak mało przywiązywał wagi do tego, co robiła i mówiła! A ona teraz mogła zostać rogiem obfitości, z któregoby się sypały nań mary młodej, próżnej, światem zgangrenowanej wyobraźni. Cóżby dla Appelsteina znaczyło jakieś kilkanaście tysięcy rubli rocznie? Dla Appelsteina obracającego pono na same cele filan-

tropijne dziesiątki tysięcy. A dla niego coby one znaczyły, te kilkanaście tysięcy? Dla niego, który tak nieraz cierpiał na braku setek, któremu się ściskało serce na widok dobrze zaprzężonego ekwipażu, lub storublówki wyjmowanej z kieszeni z tą pogardą dla niej, jaką rodzi tylko pewna i dostatnia rezerwa.

Krew mu nabiegła do głowy. Doznawał oszołomiającego wrażenia; już zamaczał rękę w złocie, które uważał za pierwszy warunek życia, jak doktorzy uważają powietrze.

Zaczynał się bać o Irenę, powątpiewać o swoim wpływie na nią...

Analizował ją dalej.

Temu dni kilka znaleźli się obok siebie na balu, gdy przechodziła około nich piękna pani Zawiszyna w swych perłach i brylantach wspaniałych. Irena mu szepnęła.

— Patrz Edwardzie: *c'est bien beau.* Czuję iż w danym razie byłabym w stanie popełnić... niewiem co, za taki naszyjnik.

Dodała jednakże zaraz ze smutkiem.

— Jakże świat przecież psuje...

I wiele jeszcze sobie rzeczy przypomniał do charakterystyki Ireny, ale jedne sprzeciwiały się drugim i Edward wpadał w stan zgnębienia. Nigdy zbyt się nie zagłębiał w pracy mózgu i czuł, że sam o własnych siłach nie wybrnie z tego chaosu.

Wtem przypomniał sobie Bywalskiego. Od cze-

góż on był, jeśli nie od tego, by mu rozjaśnić horyzont i naprowadzić na drogowskaz.

Zerwał się z krzesła i postanowił nie myśleć o Appelsteinie, aż do najrychlejszego widzenia się z Bywalskim. Stary światowiec miał nadto pewien wpływ i na jego siostry. Te bowiem znalazłszy się tej zimy pierwszy raz na wielkiej arenie, uznawały jego doświadczenie i wierzyły mu ślepo w kwestyach salonowych. A Appelstein był przecież przedewszystkiem kwestyą salonową, bo małżeństwo z nim robiło z życia bal i koncentrowało je całe na śliskiej posadzce salonów, pod blaskiem kinkietów wśród luster i adamaszkowych portyer.

Bywalski mu był potrzebny, Bywalski, przyjaciel domu hrabiny Korońskiej, który przecież musiał wiedzieć, że oni liczyli na młodego hrabiego, mającego— jak się może łudzili,—szlachecką rodzinę Starżów zaliansować z Pilarskiemi i całą śmietanką ówczesnej arystokracyi, wprawdzie nie tak starożytnej, ale co więcej może migotało, modnej i *high life*, w całem słowa znaczeniu.

Wybiegł, by zastać jeszcze Bywalskiego, który śniadanie, regularniej od zegarka, jadał w jednym z domów świata finansowego.

IV.

Bywalski ubrany w futro bobrowe, z laską w ręku chwytał za klamkę drzwi, po za któremi ktoś gwałtownie zadzwonił.

Po dotknięciu guzika elektrycznego, poznał swego przyjaciela Appelsteina, namiętnego we wszystkiem.

— Bernard — szepnął — do dyabła! Jeśli mnie zatrzyma, to się spóźnię do Kohnów...

I sam drzwi otworzył i przystanął zdziwiony rysami oblicza bankiera.

— Wyglądasz — zawołał, niedomyślając się niczego — jak człowiek, który w nocy przegrał to czego niema.

— Bo może i przegrałem, ale to co mam — odparł pan Bernard, a zrzucając z siebie palto, ciągnął. — Widzę że wychodzisz, ale choćby ci się nawet spieszyło, musisz mi poświęcić chwilę czasu i rozwagi spokojnej.

Obaj weszli do saloniku: Appelstein rozgorączkowany, Bywalski zafrasowany miną przyjaciela, pierwszy raz nie swobodną i nie promienną. Obaj równocześnie zajęli fotele, na których może pierwszy raz w życiu mieli pomówić seryo i poważnie.

— Przed chwilą — zagadnął Bernard — szukałem wraz z mym starym, poczciwym ojcem, przyjaciela.

Ty mi nie przyszedłeś na myśl, ale pomyślał o tobie mój ojciec. Usłuchałem intencyi kochającego serca i przychodzę, by ci się zwierzyć z pierwszego cierpienia mego żywota i zasięgnąć twej rady.

Bywalski pobladł. Czyżby Appelstein się materyalnie zachwiał? Inaczej nie rozumiał ani tej miny, ani tych słów. Czyżby żądał zwrotu sumy ulokowanej na Bywalicy i zwrot ten chciał uważać za możliwą przyjacielską przysługę? Taka dziwaczna myśl mogła przyjść tylko staremu zdziecinniałemu Appelsteinowi.

— Słucham cię—huknął prawie przerażony—i jestem *couny et äne* na twe usługi.

Bernard ciężko odetchnął.

— Nie będę się bawił w preludya, ani ukrywał ci prawdy. Całą młodość w kantorze mego ojca uczyłem się umiejętności przedstawiania interesów krótko, a jasno i stanowczo. Choć to z czem do ciebie przychodzę, nie jest bankierskim interesem, ale mimo to tak go ci przedstawię.

— Słucham — podchwycił zupełnie uspokojony Bywalski, bo zapewniony że firma Appelsteina nie myślała o likwidacyi.

— Oto rzecz, kochany Bywalski—zawołał Bernard, poprawiając się na krześle i usiłując pohamować trawiącą go gorączkę, a przybierając, jakby w celu ukrycia swych wzruszeń, ironiczną i prawie szyderczą minę.—Rzecz bardzo prosta, ale w której do pomocy, przed chwilą nie mogłem znaleźć ani jednego przyjaciela, ja, co ich mam tylu, co tyle oddałem ludziom

przysług, którego tak... kochacie. Ale bo to nam, Appelsteinom, wolno tylko mieć illuzyę przyjaciół, na obiadach, na balach... ha, ha!

— Zamiast gadać głupstwa, przystąp do rzeczy— przerwał zaintrygowany i zmięszany Bywalski.

Bernard odchrząknął i stanowczym głosem zaczął.

— Starałem się tego karnawału o pannę Starża, która jest twoją kuzynką?

— Tak... niby,.. tak — bąknął Bywała-Bywalski, jeszcze bardziej się mięszając i pewny, że Appelstein odrzucony wczorajszego wieczora, przychodził doń żądać interwencyi czy eksplikacyi.

— Tak... niby, ha, ha!—podchwycił z szyderczym śmiechem bankier—ale byłoby nie „tak", ani nie „niby", gdyby zamiast mnie siedział tu Koroński.

Stary światowiec nie stracił kontenansu. Udał, że nie rozumie przycinku Bernarda i zawołał obojętnie.

— A tak, i Koroński niby się starał.

— Tak! Starał się, tylko się nie oświadczył.

— Wiesz o tem?—zapytał śmiało pan Bywalski, tonem prawie wyzywającym, bo i on umiał się zirytować.

— Mój drogi — odparł Bernard — ja mam lat trzydzieści i cztery: czternaście lat oglądam i obserwuję niezliczonych Korońskich, którzy razem z Appelsteinem przeszkadzają w staraniu się o panny Starża, a sami starają się o panny Appelstein.

— Nierozumiem cię; panien noszących twoje nazwisko... nie znam...

— Ha, ha! Jesteś dziś „zakuta głowa“...

Nastało milczenie. Bywalski nie poznawał ugrzecznionego Bernarda, o którym wiedział, że trzeźwo, choć namiętnie patrzy na rzeczy, ale którego nigdy nie słyszał wybuchającego żółcią.

Appelstein ochłonął i podchwycił.

— Ale ja się nie starałem „niby“, tylko oświadczyłem się wczoraj...

Bywalski opuścił oczy, a bankier kończył.

— I nie dostałem odpowiedzi.

— Jakże to?

— Nie dostałem odpowiedzi, czy dla tego że oświadczenie się Appelsteina było niespodzianką, czy dla tego, że po drugiej stronie panny Starża siedział Koroński, czy dla tego... Dość—zawołał stłumionym głosem—że nie dostałem odpowiedzi.

— I chcesz, bym o nią zapytał?

— Tak! być może że tego chcę, ale przedewszystkiem chcę przyjaciela, któryby mnie mógł łudzić nadzieją, jeśliby mi nie miał dopomódz—ciągnął bankier odmiennym tonem, w którym Bywalski odczuł głębsze uczucie i jeszcze bardziej się pomięszał.—Chcę przyjaciela, któryby zrozumiał że i Appelstein może też kochać... kochać namiętnie i do szaleństwa. Chcę przyjaciela, w którego uścisku dłoni uczułbym, że mi jest życzliwy jako człowiekowi, a nie...

Odchrząknął, bo się zapalił, rozgorączkował i kończył innym głosem:

— Gdybym takiego przyjaciela miał, tobym powiedział...

— Masz takiego—zawołał Bywalski, wyciągając do Bernarda dłoń, prawie rozczulony tem zachowaniem się człowieka, którego dotąd odgadywał, ale który mu się nigdy nie odkrywał; który nigdy nie potrącił o te struny, o jakie teraz trącał.—Jeśli mam być szczery, to zawsze widziałem w tobie człowieka, sympatyczniejszego mi od wielu...

Tu się zmięszał niewymownie i urwał, ale Appelstein zawołał.

— Dokończ!... od wielu żydów. To chciałeś powiedzieć, ha, ha! Dziękuję ci i za to, bo szczere. Wy postępujecie z nami niegodziwie! Zbliżacie nas do siebie, pozwalacie nam się oswajać z myślą, że do was całkowicie należymy, by nam tem większą wyrządzać krzywdę. Mój ojciec był „per ty“ z wielu Starżami, o których córki moje staranie się dzisiaj wywołuje uśmiechy i miny, które aby zrozumieć, trzeba przejść ciernistą drogę w waszym świecie. Z kimże chcesz, bym ja się dziś ożenił, jeśli nie z jaką panną Starża, w warunkach w których się wychowałem i na świat patrzeć nauczyłem? Gdzież chcesz bym szukał żony, jeśli nie w waszym świecie, do którego należę wychowaniem, majątkiem, aspiracyami i tradycyą, choćby tylko jednego pokolenia! Jeśliście nie chcieli, by o wasze córki oświadczali się dzisiaj Appelsteiny, nie

trzeba było łączyć się wczoraj społecznie i towarzysko z Appelsteinami, nie trzeba było ich wczoraj używać w swoich interesach i jak równych traktować. Trzeba było od razu ustanowić linię demarkacyjną, gdyście się spostrzegli że Appelsteiny się rozmnożą. Oni może byliby utworzyli swój świat, gdyby wiedzieli że zlać się z waszym nie mogą. Ale oni tego nie widzieli. Ja się wychowałem w domu, w którym na dziesięciu książąt i hrabiów, na dziesięciu Starżów, widziałem jednego żyda.

Bywalski słuchał prawie zainteresowany, bo Bernard miał pewien dar wymowy, jak każdy namiętny człowiek.

— Masz słuszność—szepnął.

Appelstein machnął ręką i zawołał:

— Ale po co o tem mówić. Spieszysz się...

— Nie—odparł Bywalski, wyciągając zegarek.— Miałem śniadać u Kohnów... już zapóźno...

— Więc pójdziesz do mnie?

— Dobrze... lecz dokończ...

— Dokończę bardzo krótko i prędko—zawołał wstając.—Potrzebuję rady, powiernika, przyjaciela! Starałem się tylko o pannę Starża, a zakochałem się w Irenie. Czy rozumiesz tę kombinacyę? Nie dość na tem: mój stary ojciec, który wiesz jak mnie ubóstwia, wie od Jakóba o przedmiocie mych starań. Mego ojca, który żyje tylko siłą uczucia dla mnie i nadzieją swego żywota, zobaczenia mnie ożenionym, zabiłaby na miejscu odmowa panny Starża, choćby się na-

wet nie domyślał, coby mnie moralnie kosztowała odmowa Ireny... Czy ty to rozumiesz?

— Rozumiem.

Nastało długie milczenie.

Bywalski, jakkolwiek się nie mógł połapać, doznawał wrażenia jakby go ktoś wiązał i krępował, nie bolesnemi, ale silnemi powrozami. Bernard był mu zawsze sympatyczny. Dziś go prawie porywał, jego starego, który od tak dawna, zdawało mu się, stracił możliwość odczuwania—który tak mało miał rzeczywistej dla finansów sympatyi. Ale Bernard był jakiś inny od nich, jakiś całkowicie inny.

To namiętność jego odróżniała go tak wybitnie od wszystkich rówieśników jego i potomków Izraela. W tej namiętności było coś tak mało wyrachowanego i tak silnego, że Bywalski wciąż potrzebował sobie przypomnieć, że ten blondyn, który stał przed nim, którego dźwięczny i gorący głos brzmiał mu jeszcze w uszach, który się kochał w Irenie, był Appelsteinem, bankierem, synem pana Salomona, przedmiotu anegdot i drwin całego ćwierć wieku w historyi Warszawy, a nie bohaterem jakiegoś nowoczesnego romansu *à la* Claretie, czy Bourget.

Wstał, ziewnął i wyciągnął się, bo był rzeczywiście zmęczony. Bywalski nie znosił poważnych dyskussyj, trawiących mózgi i gimnastykujących myśl.

— No, chodźmy na śniadanie. Będziemy gadać. Trzeba to wszystko rozważyć i... obmyśleć.

Appelstein pobladł. On rachował na słowo

zachęty, otuchy, a tu widział potrzebę rozwagi i namysłu. On sądził, że jeśli Koroński się nie oświadczy—a wiedział że się nie oświadczy—to nic na przeszkodzie nie stanie, by mu Irena oddała swą rękę. Myślał że i Bywalski tak mniemał, a tu ten chciał rozważać i obmyślać.

— Więc sądzisz — zawołał rozpaczliwie niemal — że...

Bywalski przerwał:

— Nic nie sądzę, tylko skoro mam być szczery, skoro musimy być otwarci...

— Mów!

Bywalski się ociągał.

— Mów!—powtórzył Bernard.—Wszakże dostatecznie ci się odkryłem, aby...

— Ha!.. nie wiem—odparł, wsuwając swoją rękę pod ramię przyjaciela i pociągając go do wyjścia—nie wiem. Potrzebuję się połapać... Ze Starżów pani Appelstein? Nie może mi się w głowie pomieścić.

— W głowie?—jęknął pytająco Bernard.

— Może się źle wyraziłem: w oczach. Biletu takiego wystawić sobie nie mogę — odparł Bywalski, pojmujący wszystko ze stanowiska światowo-drobiazgowego. — Ze Starżów pani Appelstein — powtórzył tak zamyślony, że nie zauważył miny Bernarda, którego oblicze krwią nabiegło i pałało.

— Ze Starżów pani Appelstein — zawołał—ha! Wszak to konieczna konsekwencya rzeczy: ktoś raz, na dobre, zacząć musi.

V.

Weszli do pałacu Appelsteinów, rozmawiając z taką werwą, iż nie zauważyli obaj, Bernard pan tego domu, Bywalski codzienny jego gość, iż portyer nie zamknąwszy widocznie bramy za ostatnim wychodzącym, nie znajdował się na swem stanowisku, a podwoje od klatki schodowej stały otworem, jak gdyby ich kto w pośpiechu nie miał czasu za sobą pociągnąć.

A pośpiech nie istniał w pałacu Appelsteinów, bo pośpiech jest cechą ludzi dochodzących, a nie doszłych, jest cechą walki a nie tryumfu.

I Bernard, ten święty przestrzegacz komfortu i drobiazgowego porządku, nie dostrzegł jeszcze nic, gdy Bywalski już zauważył zmiany w ustroju pałacu, którego utrzymanie kosztowało rocznie sto tysięcy rubli.

— Bernardzie!—zawołał—tu się coś stało—wszystkie drzwi stoją otworem, a owiewa mnie jakaś dziwna atmosfera.

Młody Appelstein przystanął i w tejże chwili pobladł. Coś mu mózg jakby świdrem przeszyło. Rozejrzał się, wciągnął powietrze i szepnął:

— Rzeczywiście... W tejże chwili byli na pierwszem piętrze. Bernard miał ruszyć z miejsca, gdy go znów zatrzymał odgłos kroków, biegnących koryta-

rzem prowadzącym od apartamentu ojca. Zaparł oddech i jęknął.

— Czuję nieszczęście...

Zaledwie słowa te wymówił, gdy stanął przy nim Jakób jak wryty, jak człowiek który się spotkać z nim nie spodziewał. A był blady i wzburzony.

— Ojciec?—zapytał Bernard.

— Nie żyje!—odparł brat.

Appelstein się zachwiał, ryknął formalnie i rzucił się naprzód, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Bywalski go podtrzymał i zaprowadził do komnaty, gdzie na łożu leżał stary pan Salomon jeszcze ciepły, z oczami otwartemi, ale już nie mówiącemi.

— Zabiłem go! — krzyknął Bernard, i rzucił się łkając spazmatycznie jak dziecko, na ciało rodzica.

Bywalski stał oniemiały. Nie rozumiał tej rozpaczy, gdy chodziło o życie ośmdziesięcioletniego starca, którego minuty oddawna były policzone. Ale ostatni wykrzyk Appelsteina ocucił go. Cóż to miało znaczyć? Trudnem było do pojęcia, by Bernard zabił ukochanego ojca. Bywalski czekał długo, szanując rozpacz syna, jak pacholę płaczącego i zawodzącego u łoża ojca. I dopiero gdy tenże nieco się uspokoił, zbliżył się doń i szepnął:

— Bernardzie! Nie bądźże dzieckiem. Twój ojciec miał...

Appelstein się zerwał na równe nogi.

— Ha, ha!—zaśmiał się nerwowo—ty nie rozu-

miesz mojego cierpienia, bo nie wiesz co to za straszny ból zabić ojca.

— Zabić ojca?

— Tak! zabić go. Bo go zabiłem... ha, ha!

— Ależ twój ojciec liczył lat...

— Mniejsza o to. Ale gdyby nie ja, byłby żył jeszcze, byłby żył może dzień, może rok... Zabiłem go!

Upadł na fotel i zakrył twarz dłońmi, a Bywalski obsunął się też na krzesło, srogie robiąc sobie wyrzuty, że zamiast śniadania u Kohnów, wpadł w taką pułapkę. Nie myślał jednak wychodzić. Jeśli tu już był, to czemuż nie zgłębić tajemnicy? Bernard? czemże on mógł zabić ojca?

Myślał nad tem, gdy Appelstein który dopiero co szlochał, a przed chwilą ucichł, zerwał się i szkarłatny, wzburzony do najwyższego stopnia, stanął nad nim wyprostowany i wyzywający.

— Omyliłem się! Nie ja go zabiłem, tylko wy.

— Oszalałeś Bernardzie!

— Tak, wy! wy! — powtórzył i ciągnął, chwytając za rękę Bywalskiego.—Wy, a nie kto inny. Wy! wasz świat, świat twój i Starżów, świat do którego my głupcy całe życie się rwiemy, by tam otrzymać od was jakby gąbkę sączącą cierpienie na całe pasmo lat.

— Oszalałeś Bernardzie!

— Ot słuchaj—mówił dalej gorączkowo i namiętnie, wskazując ciało ojca jedną ręką, a trzymając drugą dłoń Bywalskiego. — Ten stary zdziecinniał

z wiekiem i żył w ostatnich czasach tylko nadzieją widzenia mnie ożenionego z Ireną! Ja, oszalały cierpieniem, rozbestwiony tem staraniem się w waszych salonach, w których mi następowano na nogi, w których mnie uczono, jak i za co się rumienić, jak się własnej krwi wstydzić, jak sobie wywalczać stopę kwadratową ślizkiej posadzki, z której szubrawcom i łotrom ustępujecie, a której uczciwym ludziom skąpicie... Ja mu przed chwilą wyrzuciłem, żem żyd! ha, ha!

Wyczerpany temi kilkoma słowy, obsunął się na fotel i dalej łkał.

Bywalski wreszcie odczuł dramatyczność położenia i niesłysząc rozdzierającego płaczu Bernarda, zatopił się w zadumie. Ten świat finansów inaczej mu się zarysowywał. On myślał że to byli bankierzy, a zapomniał że byli i ludźmi. W chaosie swych myśli, reasumując to co był od Bernarda u siebie przed godziną słyszał, i to co teraz widział, dochodził do wniosków których określić nie umiał. Jeśli Bernardowi niewolno było zakochać się w pannie Starża, dlaczegóż go wpuszczano do salonu, gdzie ona królowała.

Jeśli pannie Starża nie wolno było wyjść za Bernarda, dlaczegóż stary Starża ściskał się w swoim czasie ze starym Appelsteinem? Te i tym podobne myśli błąkały się po mózgownicy Bywalskiego, nad ciałem ojca a szlochającym synem. I czuł, że się rodziło w nim jakieś uczucie nowej i innej sympatyi dla

tego Bernarda, w którym dotąd tylekroć widział bankiera, a ani razu człowieka.

Ten Bernard, szlochający jak dziecko przy trupie ojca, którego może i zabił słowem płynącem z serca rozgoryczonego milczeniem Ireny, w odpowiedzi na jego może gorące i namiętne oświadczyny, dziwnie rozstrajał Bywalskiego, ale go też i dziwnie jednał.

— Bernardzie—szepnął po bardzo długiem milczeniu — rozsądku! stało się! Nie wierzę, byś wypuścił rozmyślnie słowo, któreby sprawiło przykrość twemu ojcu...

— Ha, ha! — zaśmiał się Appelstein i znów zerwał z fotela. — Ha! ha! Jesteś naiwny. My żydzi, my jesteśmy dobre dzieci, bo we krwi mamy cześć dla ojców. Ale któżby dobrym pozostał między wami, w waszym świecie? Brakło mi już cierpliwości. Ten stary mnie drażnił w swojej naiwności, w której zdawał się nie domyślać, że mi nie dał wszystkiego do walki w życiu, i że mnie nie uzbroił od stóp do głów do walki z wami, na wywoskowanych posadzkach salonów. Doprowadzał mnie do rozpaczy... I wyrzuciłem mu, jakby zbrodnię, jakby niezmazaną plamę, pochodzenie jego, które mnie, jego ubóstwianemu synowi, stało na przeszkodzie do urzeczywistnienia jego i moich marzeń. To pochodzenie może wczoraj sprawiło, żem nie dość wyraźnie zadał Irenie zapytanie. Temu pochodzeniu pewnie zawdzięczam zdziwienie, z jakiem na mnie spojrzała, bo nie wiedziała może, co się dzieje w sercu bankiera,

któremu niewolno mieć tych uczuć, jakieby mógł mieć Koroński... To pochodzenie sprawiło wreszcie, żem się jej wczoraj nie zapytał śmiało o odpowiedź, której brak dziś mnie rozstroił i tego starca zabił.

Tu znów załkał i zakrył twarz dłońmi.

Bywalski uczuł rozczulenie tak silne, jakiego nie pamiętał. Powstał i pochwycił w objęcia Appelsteina.

— Bernardzie!—szeptał jak do dziecka—uspokój się. Wszystko pójdzie dobrze. Wszystko się ułoży...

I młody bankier uspokoił się, bo potrzebował serca tylko, któreby jego cierpienie odczuło—bo potrzebował go tem więcej, widząc już martwem serce jedyne, które go takim jakim był, kochało.

Bywalski wieczorem dopiero opuścił pałac Appelsteinów. W nim się dowiedział po raz pierwszy, że i Appelsteiny cierpią fibrami ludzi a nie członków jakiegoś świata, który on nazywał „finansami“ i o którym bez zastanowienia sądził, że istniał po to tylko, by dla *highlifu* dawać bale i obiady, a zbierać krocie na posagi... dla tegoż *highlifu*.

I szedł do domu z dziwnem uczuciem w sercu. Zdawało mu się iż polubił Bernarda, on, co bez przyjaciół doskonale się obchodził; co się obchodził bez wszelkich w życiu sympatyi, wychodzących z granic zakreślonych kodeksem dżentelmanów i clobmenów końca naszego stulecia.

VI.

Irena Starża ulegała najróżniejszym wrażeniom, które wszystkie płynęły z jednego źródła. Wczorajszego wieczora, a raczej dzisiejszego ranka, w chwili gdy zdawało się jej, że czytała na ustach Korońskiego zamiar deklaracyi, w chwili w której go kokieteryą nawet zachęcić spróbowała, w tej chwili właśnie—pamiętała ją dobrze—Koroński zaciął usta i zmięszał się prawie, a Appelstein ni ztąd, ni zowąd, wyrzekł głosem drżącym, bo nie słyszała co przedtem jej szeptał:

— Wierzaj mi, że jestem więcej wart od wielu w tym salonie i przyjmij moje życie, które ci w ofierze składam.

Czuła rumieniec, który pokrył jej oblicze. Zmięszana nie odpowiedziała nic, tylko zdziwionym wzrokiem spoczęła na Bernardzie.

Coby mu ona była odpowiedziała, gdyby w sam czas hrabia Ka... nie wezwał wszystkich par do tańca, i gdyby jej z pośpiechem nie porwał Koroński?

Coby mu ona była odpowiedziała? Nie wiedziała jeszcze teraz, po kilkunastu godzinach namysłu i rozwagi.

Nie byłaby powiedziała „tak,“ ale zdawało jej się, że nie rzekłaby „nie.“

Myśl jej błądziła. Wszakże przybyła do War-

szawy by zrobić partyę, by posiąść stanowisko w świecie, w którem grały rolę tytuły i nazwiska, uczucia i sympatye, ale w którym—widziała to sama po spędzonym karnawale—najważniejszą rolę grały pieniądze. A Appelstein, to miliony, to życie w koronkach i na dywanach, wśród dźwięków orkiestry, w atmosferze uperfumowanej; to dalszy ciąg tego pochodu tryumfalnego, który ją od dwóch miesięcy odurzał i oszołomiał.

Wszakże nie była królewną dlatego, że była panną Starża. Mogła być królową, będąc panią Appelstein.

Ta myśl ją trawiła, bo ona takby chciała, by ten tryumf karnawału trwał nie *saison*, lecz życia kawał. Ten tryumf tak jej odpowiadał, takiem napełnił uczuciem próżności, iż ją zmienił nie do poznania dla samej siebie. Przybyła do Warszawy marząc o mężu przystojnym, miłym, kochanym. A dziś marzyła o mężu, któryby brylantami przypruszył jej głowę, aby się jeszcze piękniejszą wydawała i wyraźniej jeszcze słyszała szmer podziwu, gdy wchodziła szpalerem fraków do oświetlonego salonu.

Dziś marzyła o mężu, któryby jej zapewnił pozycyę w tym świecie, nęcącym ją tak silnie i gwałtownie. Nie rozumiała życia bez apartamentu, w którymby, otoczona blaskiem zbytku, tak podnoszącym urok kobiecy, przyjmowała roje wielbicieli. Marzyła o ekwipażu, na którego tle za szybą takby odbijała malowniczo jej główka, stworzona do pluszowych ram,

jak twierdził Koroński. Marzyła o tych toaletach z Paryża i Brukseli, które szmerem witał tłum balowy, choć nieraz pokrywały szpetną postać zrujnowanej kobiety. Jakkolwiek królewna tego karnawału, panna Starża była zbyt inteligentną, czułą i popsutą, by nie widzieć olbrzymiej różnicy między stanowiskiem w wielkim świecie pięknej kobiety, której szyję otacza aksamitka, a tej, która dźwiga na sobie pereł i brylantów za sto tysięcy.

Głupie to, ale prawdziwe. Dlaczego tak jest, nie wiedziała—ale że tak jest, czuła. Pani Kohn z domu Goldfinger, szła do kolacyi z matadorami i nie ustępowała kroku pani Starża w tym świecie. Pierwsza miała za sobą tylko swe brylanty i bale, a druga nazwisko jedno z najstarszych i tradycye kilkunastu pokoleń.

To i owo nie uszło uwagi oszołomionej, i już tryumfem popsutej Ireny, do tego stopnia, że szczęście widziała tylko w świecie, który rozbudziwszy jej próżność, zaślepił ją całkowicie.

Zwykły to los panien, którym nierozważne matki czy niedorzeczne zwyczaje, każą szukać mężów na wielkich jarmarkach partyi.

Ireny pojęcia o małżeństwie były spaczone i pytała się z rozpaczą, czy jeśli Koroński jej nie chciał, Appelstein nie był raczej partyą, niż Sędomirski lub inny, któryby ją porwał jak klacz rasową z targowicy i zaprządł do powozu wprawdzie, ale powozu uganiającego po pustych wiejskich drogach.

Jakąż ona po tym karnawale pogardę miała dla egzystencyi, o których przecież przed kilku miesiącami marzyła; dla tych egzystencyi bez blasku i szumu, bez akompaniamentu orkiestry i podniecenia szału—dla tych egzystencyi zamkniętych w ciasnych kołach rodzin, sąsiedztw i znajomych. Obarczone obowiązkami codziennego życia, są monotonne i bezbarwne, najpiękniejsza kobieta pod słońcem mogłaby swój urok ignorować, gdyby nie lustro, i najsprytniejsza dojść do przekonania, że jest najpospolitszą gąską.

Wielki świat tylko, który inaczej na kobietę patrzył, który umiał ją podniecać i ocenić, który podchwytywał jej miny i minki, rozumiał się na półsłówkach i spojrzeniach, szukał kształtu nogi z pod falbany sukni i badał formę i cechy ręki pokrytej duńską skórą—mógł być tylko godną jej piękności i wdzięku areną.

Stary hrabia Ka... oburzył się, gdy się dowiedział że Sędomirski jej nadskakiwał.

— Panno Ireno! — mówił—nie róbże tego głupstwa. Zabrałby cię do jakiej Odrobinki czy Majdanówki i nie pokazał światu, w którym powołaną jesteś być królową. Musiałabyś całe życie słuchać madrygałów szlachty, nieumiejącej nawet patrzeć na piękną kobietę, a cóż dopiero jej to mówić! To byłoby samobójstwo w swoim rodzaju. Stwórca stworzył gwiazdy, by świeciły na całym horyzoncie, a nie jak chłopi myślą, nad parafiami. Stwórca stworzył piękne ko-

biety, by nas ogrzewały i świeciły nam, którzy ich blasku potrzebujemy. Bo na miłość Boga, cóżbyś ty robiła na wsi? Odrywałabyś tylko myśli szlagonów od nawozu i orki w najlepszym razie, i za całą legię admiratorów, miałabyś kilku durniów, którzyby w tobie szukali tego, co i u każdej Kaśki ich zachwyca. *Vous êtes bien trop fine pour ça. Vous êter Irêne. Reine.*

Tak mówił hrabia Ka... i nie potrzebował tego dwa razy powtarzać.

Pannę Starża owiał zaraźliwszy od wszystkich, gorący podmuch *high lifu* tropikalnej atmosfery, trafiając na naturę, jeźli nie przygotowaną, to podatną do przyjęcia zarazku.

I późno już było dnia tego, gdy jeszcze siedziała w swoim pokoju i myślała, co począć wobec Korońskiego który się nie oświadczył, a Appelsteina który jej prawdziwą uczynił niespodziankę. Ona myślała, że młody bankier znany w świecie panieńskim z tego, iż utrzymywał kosztowną metresę, nadskakiwał jej dla nadania sobie tonu—a nie widziała jego uczucia, bo może widzieć nie chciała. Ale dziś gdy Koroński, któremu prawie oświadczenie się na usta tchnęła, gdy ten się nie oświadczył, Irena przypominała sobie, że Bernard poprostu o jej rękę się starał.

Zapewne, iż pomijając nawet względy, że hrabia Karol podobał się dziewczynie, jaka w Irenie jeszcze tkwiła, wolałaby ona w świecie warszawskim zająć miejsce hrabiny Korońskiej, niż pani Appelstein.

Ale nasuwało się straszne pytanie, ażali nie zająć żadnego raczej miejsca niż żony pierwszego bankiera.

Pani Kohn, świeższa jeszcze arystokracya finansowa od prastarych, bo dwu pokoleń Appelsteinów, miała wyborną w *high life* pozycyę, choć tam się na nią krzywiły panie, noszące historycznej śmietanki nazwiska.

O godzinie ósmej wieczorem dopiero, zelektryzowana kilkakrotnym odgłosem dzwonka zwiastującego gości, postanowiła pokazać się w salonie matki. Pani Starża trzymała dom otwarty i nie było wieczora, któryby kogoś ze znajomych nie znęcił do jej salonu, będącego w modzie tej zimy.

Miała opuścić swój pokój, gdy wszedł Edward.

— Dlaczego się nie pojawiasz?—zapytał.

— Owszem... idę. Czy jest już kto?

— Mama poleciła nie przyjmować nikogo.

— Zdawało mi się, że ktoś przyszedł. Słyszałam...

— Bywalski!

— Bywalski? — powtórzyła Irena i zastanowiła się. — Musieliście po niego posyłać?

Edward po chwili odparł:

— Nie będę ci taił. Prosiłem go by przybył. Wszakże możesz go potrzebować, jeśli nie jego rady, to jego *savoir faire*.

— Więc wiesz?

— Wiem.

Irena odetchnęła. Nie miała pojęcia, jak się jej

brat zapatruje na krok Appelsteina — a spokój z jakim mówił, upewnił ją. Nie chciałaby w usposobieniu, w jakiem była, by Edward oświadczył się za tem, czy owem.

— Zapewne — szepnęła — wszakże to przyjaciel pana Appelsteina.

Oboje przeszli do salonu, gdzie zgromadziło się już całe kółko rodzinne. Ewelina ze swoim narzeczonym nie wchodzili w rachubę, zajęci sobą i swem szczęściem. Irenie dogadzało to zajęcie się ich, nie pozwalające im, jak sądziła, zajmować się nią. Doznawała uczucia, jakby ją spotkał jakiś niemiły wypadek, którego się wstydzić była winna; wypadek tkwiący mniej we wstrzymaniu się od deklaracyi Karola, niż w oświadczeniu się Bernarda Appelsteina.

Nie spodziewała się tak zakończyć karnawału po dwumiesięcznym tryumfalnym pochodzie, wśród kwiatów, bukietów i hołdów.

Jak w bajce czarodziejskiej liczyła na księcia— i dostała księcia z bajki, ale który się nazywał Appelsteinem.

Wyraz rozczarowania pierwszy raz odbijał się w jej spokojnych i dumnych rysach, jeszcze nie zdolny cierpieniem wykrzywić ust, bo pochodzący z ciosu właściwie jeszcze nie zadanego, tylko *quasi* przewidywanego.

Appelstein się oświadczył, ale Koroński nie powiedział, że się nie oświadczy. Jeszcze istniała deska zbawienia, podstawa nadziei czy ułudy. I ta tylko ratowała oblicze panny Starża, od zdradzenia

strasznego wewnętrznego cierpienia, które dopiero się rodziło powoli i systematycznie, jakby poważna choroba. Bo nią bezsprzecznie jest utrata ułud i ambicyi młodego dziewiczego, ale już próżnością zarażonego serca.

Albo ona wiedziała, czy się kochała w Korońskim, czy w partyi, jaką zdawało się jej, że on przedstawiał?

Usiadła przy stoliku między bratem a Bywalskim, naprzeciw matki. Jednem powłóczystem spojrzeniem objęła ich wszystkich i odgadła ich myśli. Pani Starża usiłowała wyczytać odpowiedź z jej oblicza, a Edward i Bywalski sprawiali wrażenie, jakby się już porozumieli.

Uchwyciła ręczną robotę dla nadania sobie kontenansu.

— Pan widziałeś się w ciągu dnia z moim bratem?—zapytała nagle Bywalskiego.

— Tak—odparł po chwili namysłu, chrząknąwszy wpierw Bywalski.

Głęboko odetchnęła; potrzebowała sił nabrać. Wiedziała już wszystko. Bywalski przybył do pomocy bratu, który ją wołał mieć milionową panią Appelstein, niż dalej na karku panną, obciążającą rodzinny, zachwiany majątek.

A ona nie myślała się dziś zdecydować—ani dziś, ani jutro. A więc pierwszy raz w życiu miała może powiedzieć despotycznemu bratu „nie,“ i to bez żadnych tłomaczeń. Czy ona jemu nawet, bratu, mogła

powiedzieć, że rachowała jeszcze na Korońskiego, który wczoraj podle zamilkł, gdy mu tak wypowiedzenie jednego słowa ułatwiła.

Serce jej zaczęło bić gwałtownie. Czuła w powietrzu, iż miała pierwszy raz w życiu stanąć w obronie swego „ja.“

Długie panowało milczenie; przerwał je Edward, nawiązując rozmowę do ostatnich słów.

— Tak, widzieliśmy się. Umyślnie go odszukałem, by przybył dzisiaj i ewentualnie ułatwił ci danie wiadomej odpowiedzi.

Irena milczała, a Edward powstał i skinąwszy na matkę znakiem porozumiewającym wysunął się do przyległego saloniku. Wkrótce za nim podążyła pani Starża, wydając ciężkie westchnienie, malujące w tej chwili zaniepokojony i pełny wahań stan jej duszy.

Irena i Bywalski zostali sami.

Stary światowiec, pośrednik w niezliczonej ilości małżeństw i intryg, nie namyślał się długo by zacząć działanie, do którego przygotowali go: Bernard i Starża.

Jeśliby po dramatycznem posiedzeniu z bankierem, jeszcze się wahał namawiać Irenę do oddania swej ręki Appelsteinowi, to wszelkie skrupuły stracił po rozmowie z Edwardem. Ten bowiem pomówił z nim szczerze i otwarcie, przesadzając może rozmyślnie szczegóły, mogące wpłynąć na decyzyę siostry — Bywalski więc, jako *hihg life*owicz skończony, rozsą-

dny, zimny, jednostronny, bałwochwalczy wielbiciel złota, postanowił wszelkich sił dołożyć, by połączyć Irenę z Appelsteinem, który miał uratować polską fortunę od zagłady, zapewnić pani Starża spokojną starość, Edwardowi stanowisko—a jej samej to wszystko, w czem jedynie widziała możliwą egzystencyę.

— Jeśli wreszcie — myślał—tak sądził Edward, głowa rodziny, nie było się nad czem zastanawiać. Jeśliby Appelstein czy z tego, czy z owego względu nie odpowiadał rozpieszczonej i oślepionej fałszywemi blaskami swiata dziewczynie, to zawsze lepiej było by stłumiła w sobie skrupuły, a nawet pewne wstręty, niźli puszczała swą łódź na niepewne i strasznie burzliwe fale życia bez fortuny, ze swemi pojęciami i wychowaniem.

Bywalski widział panny Starża guwernantkami. Nie twierdził, że Appelstein jest partyą; ale ze stanowiska pytania „być, albo nie być,“ był świetnym półśrodkiem. A być, znaczyło zająć stanowisko w *high life* warszawskim; nie być, zginąć w egzystencyi bez blasku i *tra-la-la*, jak się doskonale wyrażała pani Paryska.

To wszystko odrazu, bez wstępów, ubarwione przykładami, poparte poglądami doświadczonego światowca, wypowiedział jej, z obojętnym spokojem i może dlatego hypnotyzującym.

Irena nie wyrzekłszy słowa, słuchała tylko, bo chaos panował w jej duszy, wywołany pojęciami, które

się nagle zmieniały, poglądami które się rozjaśniały, czy stwierdzały.

Słuchała z uwagą zapierającą jej prawie oddech i czuła, że ze stanowiska tego, z jakiego na świat nauczyła się była od dwóch miesięcy patrzeć, Bywalski miał słuszność. Ale nie mówiła nic, nie przeczyła niczemu, nie potwierdziła niczego, bo ile razy usta otworzyć chciała, stawał jej w wyobraźni Koroński i serce się ściskało pytaniem: „A może on?“

Skończywszy tę całą długą przemowę, Bywalski przystąpił do rzeczy głównej.

Rano był u niego Bernard, zrozpaczony, nieprzytomny. Ten człowiek pochodził z finansów, ale jak jego fizyognomia tak i dusza tego nie zdradzała. Fizyognomia Appelsteina, nie wołająca „Appelstein!“, to bardzo wiele w świecie warszawskim. Między Appelsteinem takim jakim był Bernard, a Appelsteinem o semickich rysach, istniała przepaść. Nazwisko Appelstein, które raziło słuch Warszawianina, brzmiało wybornie w Paryżu, Londynie, Wiedniu, liczyło się do arystokratycznych nazwisk potężnego świata europejskich finansów.

A dusza? Nie znał szlachetniejszego charakteru, uczuć bardziej wykształconych i większej delikatności, odgrywającej tak ważną rolę w pożyciu małżeńskiem. I byłby go takim nie poznał, gdyby nie różne wypadki, gdyby nie szereg nieszczęść, który go skłonił do zrzucenia maski i do przedstawienia się takim, jakim był, namiętnym, kochającym, trzeźwym, ot jednym z nas!

Czyżby ją powstrzymywały przesądy? Nie. Irena oddając swą rękę Appelsteinowi, wychodziła ze wszystkich światów i światków przesądów, koteryi i narodowości, a wchodziła w jeden wielki świat kosmopolii europejskiej, świat w którym już nie pytano o nazwisko, pochodzenie, narodowość, tylko o dwie rzeczy: o stopień wychowania i o cyfrę rocznego dochodu. Ona wchodziła w świat, mający swe stolice w Londynie, Paryżu, Florencyi—świat, w którym niezawodnie nazwisko Appelstein lepiej brzmiało od Starża, bo jakby dźwięczało złotem; świat, w którym złoto zastępowało drzewa genealogiczne, będące zbytecznem i Hirschowi, skoro bez niego przyjmował tylu arcyksiążąt, królów i królewiczów, z księciem Walii na czele.

Ona odtąd, o ile nie w Warszawie, do tego należałaby świata. A w Warszawie? Czyż nie znała pani Kohn, o tyle, tyle niżej od Appelsteinów stojącej w hierarchii finansów, której salony zasypywały tytuły w dzień recepcyi, a która niebawem miała zostać świekrą Pilawskich, Korońskich i Oleśnickich, bo miała trzy córki.

O ileżby ona od niej miała w Warszawie świetniejszą pozycyę! ona ze swym królewskim chodem, arystokratycznym profilem, ona Starża z domu, od pani Kohn z Goldfingerów?

Tu Irena pierwszy raz przerwała Bywalskiemu i z trudnością zapytała.

— Sądzisz pan, że pani Kohn tak wyda córki?

Bywalski bystrzej się przypatrzył Irenie, która ócz niepodnosiła i odparł:

— Powszechnem jest dziś mniemanie w Warszawie, że cała antisemicka taktyka Korońskiej skierowaną jest ku temu, by syna ożenić z Kohnówną.

Irena zbladła i w tejże samej chwili poczerwieniała. Podniosła zdziwione, obłąkane oczy i utkwiła bystro w obliczu przyjaciela.

— Co pan mówisz?

— *Vox populi.*

— Hrabia Karol z Kohnówną?

— I co do mnie, to czuję.

— Pan żartujesz?

— Nie pani. Czyż to panią obchodzi?

— Nie.... nie.... — szepnęła i odetchnęła.

Bywalski dalej mówił już w bezładzie, to posiłkując się przykładami, to cytując wypadki, to wydrwiwając przesądy, to przepowiadając przyszłość. Wszystko w Warszawie dążyło do wielkiej fuzyi finansów z arystokracyą. Za lat kilka może, będzie Appelstein partyą większą od Potockiego, a Kohnowie arystokracyą, choćby tylko siłą aliansów i związków krwi.

Irena odłożyła robotę. Ziewnęła ze zmęczenia i rzekła:

— Gdybym uwierzyła, że pani Korońska przypuszcza możliwość zostania *belmerą* panny Kohn, toby mi łatwiej przyszło zostać panią Appelstein.

— Na to rok czasu możemy czekać. A tymczasem cóż mam odpowiedzieć Bernardowi?

Ruszyła ramionami, uchwyciła znów robotę, spuściła oczy i odezwała się na pozór obojętnie:

— Na czem pan opierasz przypuszczenia swoje że Koroński...

Urwała mięszając się, ale Bywalski nie potrzebował końca zapytania. Jakiś uśmiech politowania po jego lisiej fizyognomii przebiegł, który stłumił i zastępując go powagą, rzekł:

— Na swojem doświadczeniu, panno Ireno, opartem na trzydziestoletniej praktyce w świecie warszawskiem.

— Czyż wolno na takiej podstawie zarzucać komuś, jak hrabiemu Karolowi?...

— Ach, pani! — zawołał wstając Bywalski i chwytając obie ręce Ireny — ach! panno Ireno! gdybym cię nie tak kochał, jak kocham, tobym cię zostawił w twoich iluzyach. Myślałem, że karnawał otworzył ci oczy na niejedno. Niestety, rozsądek mi nakazuje zdjąć zasłonę z twych cudnych ocząt...

Upuścił bezwładne i zimne ręce dziewczyny i usiadł, ciągnąc:

— Ha! ha! czy wolno zarzucać... Ależ panno Ireno, jestem bardzo dobrze z hrabiną. Znam na wylot Karola... to *coureur de dot de la première espèce*... wierzaj mi. Jeśli tej zimy jeszcze nie złapie posagu ze świata, to na przyszłą uderzy w finanse.

— Wszakże się o żadną tej zimy nie starał.

— Bo żadnej nie było:

— Ani też nie starał się podobać w finansach.

— Ha, ha! Nie znasz jeszcze pani najlepszego sposobu *de se faire valoir*, używanego przez Korońskich...

— Sposobu?

— Pogardzać tymi i maltretować dzisiaj, których się jutro będzie potrzebować.

— To sposób... chyba ludzi...

— Ludzi, którzy umieją obracać się w naszym świecie, których nazywamy *fine* w języku *high lifu*. Zresztą, cóż to nas może obchodzić?

Tu wstał i rzekł nachylając się, z miną konspiratora, ze swym monoklem w oku, nad Ireną:

— Rozumiem panią... Powiem Bernardowi, że żądasz tygodnia namysłu. Tymczasem studyuj pani świat i powiesz mi, czy stary Bywalski go nie zna.

Odsunął się i ruszył ku salonikowi, gdzie bawili Starżowie, matka z synem. Edward podszedł ku niemu.

— *Laissez moi faire* — szepnął Bywalski — odpowie za tydzień, *ça se fera.*

Znów usiadł i chciał o czem innem mówić.

Irena tymczasem siedziała na swem miejscu z tej prostej przyczyny, że powstać nie mogła. Serce jej, wzbierało i rozsadzało piersi. Karol o niej nie myślał. Bywalski, którego ona interesowała, zdawał się nieprzypuszczać, by Koroński ją mógł obchodzić.

Starała się uspokoić o tyle, by wstać i krokiem pewnym przejść do swojego pokoju. W tym świecie, w którym tańczyła w pierwszej parze, w którym bal

bez niej nie byłby balem, w którym hrabia Ks... wstrzymywał tańce, „bo gwiazdy nie świeciły“, jak się wyrażał, gdy ich nie było, w tym świecie znalazła tylko jednego pretendenta o swą rękę, nie dzierżącą worka złota — Appelsteina!

Na cóż był ten odurzający sukces, te wonne pochlebstw kadzidła, te bukiety kotylionowe, te tysiące hołdów, które ją napełniły przekonaniem, że wybierać tylko mogła.

Ona wybierać? Ją wybrał Appelstein, a rodzina i przyjaciele radzili go przyjąć.

Appelstein, z którym z niechęcią przetańczyła raz kadryla, srodze za to ukarana, bo Koroński ją zaraz skarcił komplementem:

— Gdym panią widział tańczącą z Appelsteinem, rzeczywiście mi się zdało, że to nie żyd...

Wtem Edward zbliżył się i siadając obok niej, zagadnął.

— Odbyłaś długą konferencyę z Bywalskim. Nie ciekawaś mego zdania?

Tego jej było za wiele. Nie mogła już wstrzymać łez, cisnących się i wzbierających.

I brat może przychodził jej tłomaczyć, że Koroński nigdy o niej seryo nie myślał? I on może przychodził jej dowodzić, że winna była się sprzedać drogo w tym ohydnym świecie handlu ciałem, nazwiskiem, wszystkiem!

Wstała, i załkała wśród słów:

— Niczegom nie ciekawa.

I wybiegła z salonu, by czemprędzej dostać się do poduszki, któraby wchłonęła jej łzy, zakryła rumieniec wstydu i przyjęła to straszne zwierzenie się dziewicy, z pierwszego jej rozczarowania—to najstraszniejsze cierpienie, które nieraz wytrawia świeżą duszę, hartuje serce, z anioła robi człowieka.

Bernard ochłonął po ciosie, którego całą winę sobie przypisywał, tem prędzej, że myśl jego wszechpotężnie zajmowała Irena. Odpowiedź jaką mu przyniósł Bywalski, by czekał dni dziesięć, mniej go uspokoiła, niż uścisk dłoni przyjaciela wśród szeptu.

— Bądź dobrej myśli...

Bywalski nie mógł mu powiedzieć, iż sam liczył prawie napewno, że panna Starża odda mu swoją rękę, bo był wyznawcą maksymy *high lifu* jego epoki, która nakazywała z finansami długie targi, mające ich przekonać o wysokiej wartości kupowanego towaru.

Appelstein żywił więc nadzieję, że przyszłość niebawem ukaże mu się taką, jaką ojciec jego całe życie dlań marzył. Stary pan Salomon, jego ostatnie chwile, jego śmierć nagła po scenie z synem, zdwoiły jeszcze w Bernardzie gorące, namiętne pożądanie Ireny za żonę. I sam, zamknięty w pałacu, pokryty żałobą, będącą u niego czemś przypominającem powagą obyczaje jego rasy, nie wiedział, czy więcej pożądał Ireny jako kobiety, czy panny Starża jako żony, jako pani pałacu Appelsteinów, jako matki pierwszego pokolenia, które się miało urodzić już w tym domu i nie zaznać choćby

pamięcią tych peripetyi dojścia do czegoś, które on niestety pamiętał.

Pogrążony w zadumie, w strasznej gorączce oczekiwania, a trwodze niepewności, pracował wytężająco mózgiem, nie pozwalającym mu ani chwili spocząć. Żałoba jego była tylko pośrednio pomnożycielką jego cierpień.

Nikt go nie nagabywał interesami, nikt o nic nie pytał w pierwszych dniach po katastrofie—i to ułatwiało mu tylko zabójcze pogrążenie w labiryncie myśli, wspomnień i wątpliwości.

O czem on nie myślał!.. a wszystko obracało się w około Ireny, z niej brało ujście lub ku niej spieszyło.

To przebiegał w myśli tę swoją całą młodość, tak przykrą, tak straszną mimo milionów, w których się kąpał prawie. Jak daleko sięgał pamięcią, to tylko przypominał sobie rumieńce które go paliły, aluzye które połykał i te tysiączne awanie, wypływające z niejasnej jego pozycyi socyalnej, które znosił.

W szkołach wyśmiewali koledzy jego nazwisko, opowiadali mu z niedelikatnością, właściwą tylko najpierwszej młodości, anegdoty z życia jego ojca. Od nich to, wśród rozhukanych śmiechów tej okrutnej swą bezwzględnością szkolnej młodzieży, dowiadywał się historyi domu Appelsteinów, któryby inaczej, sądząc po szacunku, jakim otoczonego widział swego ojca, po pełnych poważania minach buchalterów i służby domu Appelstein, uważał za jeden z pierwszych i najdostojniejszych domów w Warszawie. Od nich to podowia-

dywał się tych tysiące prawdziwych może i nieprawdziwych szczegółów i anegdot. Ich to jad trucizny sprawił, że jako dojrzały młodzieniec, niepewnym krokiem wchodził do salonów świata, który go zapraszał przecież—a drżącą, wahającą się i niezgrabną rękę wyciągał do tych, którzy mu często otwartą i szeroką dłoń podawali. Oni to zaszczepili w nim tę nieufność do ludzi, tę głuchą nienawiść do świata, w którym żyć musiał; tę namiętność w wywalczaniu sobie w nim stanowiska; tę podejrzliwość, która się w nim kształtowała. Oni to byli może przyczyną, że się tak niezgrabnie brał do ożenienia, z tą niepewnością każdego kroku i słowa, zrażającą pannę.

Bo ileż razy on się już starał? Chcąc zadość uczynić przyrzeczeniu danemu ojcu, chcąc coprędzej śmielej stąpać po posadzce, na którejby go ośmielała jego połowica, starał się co zima prawie, to o tę, to o tamtę pannę ze świata...

Jakże to czynił niezręcznie, może głównie dlatego, że się nigdy nie kochał. Ale i dziś, choć się kochał w Irenie, czuł że nie był zręczniejszym. A o tę niezręczność swoją, na której tyle cierpiał, obwiniał przeważnie swych kolegów pierwszej młodości. Jakże on ich nienawidził, tych trucicieli, z których niejednych znał jeszcze i widział, to w klubie, to w świecie, to u siebie, to na ulicy. Jakże on ich pamiętał, tego adwokata np., należącego dziś do głów antisemickiego obozu, który go w szkołach uczynił Berkiem Juden-

steinem i codzień niemal nowe o pochodzeniu jego przynosił do klasy anegdoty.

Purpurowy pod wrażeniem tych wspomnień, które się snuły niby naszyjnik paciorków, drobniejszych od morskiego piasku, powracał co chwila do Ireny.

Gdyby się z nią ożenił, gdyby ją uczynił panią w pałacu Appelsteinów, ją tak kochaną, tak piękną tak wyniosłą, tak ze światem obytą i tak z kwiatem szlachty i obywatelstwa spokrewnioną, wtedyby przecież stąpał śmielej w owem rodzinnem mieście, w swym własnym pałacu. Wtedyby już nietylko złoto było łącznikiem między nim a współobywatelami jego kraju, wtedyby pozycya jego nie była pozycyą intruza, której ścierpieć nie mógł, tylko pozycyą naturalną człowieka obracającego się w tym świecie, do którego związkami krwi, nietylko fortuną, należał. Wtedyby przecież się nie obawiał, by syn jego taką przechodził ciernistą szkołę życia, w jaką go niczem nieuzbrojonego puścił poczciwy stary ojciec.

I snuły się cudne obrazy w gorącej wyobraźni Bernarda. Irenę otoczyłby niewidzialnym zbytkiem i przepychem. Światby się tłumnie garnął do jego apartamentu, jak do żadnego z finansistów. Świat cały, nietylko *high life*, ale ten świat prawdziwy, który bankierom drzwi jeszcze na oścież nie otwierał, który miał odwagę i dość siły charakteru, zasad czy tradycyi, bo potrafić sobie odmówić dla nich kieliszka szampana i chwili szału przy dźwiękach orkiestry. Bo ta-

ki świat jeszcze istniał w Warszawie, ze swym reprezentantem Ostoją, jak go nazywano, wielkim rabinem arystokracyi. Onby mu ten pretekst dał. Przychodziliby do pani Appelstein ze Starżów, dla niej, z powodu niej i przez nią. Jeśli pani Kohn potrafiła dokazać tyle, czegóżby nie dokazała Irena ze Starżów?

Irena?

I bankier zapomniał o zmorach swej namiętnej, tem namiętniejszej, że druzgotanej i szarpanej, poniżanej i gwałconej próżności, by się poddać innym, nie bankierskim, lecz wszechludzkim uczuciom.

On się kochał w Irenie, kochał szalenie chyba, skoro tak się do myśli posiadania jej przywiązał, skoro mimo wszystkiego, mimo Korońskiego który mu po prostu na palce następował, miał odwagę się o nią starać; skoro wreszcie się oświadczył tej królewnie zimy—skoro tak oszalał, że biednemu zdziecinniałemu ojcu wyrzucił to, co w sobie przez lat trzydzieści tail i tłumił.

Tak Bernard dumał dniami i nocami od dni sześciu i liczył godziny, które zbliżały go, jeśli wreszcie już niekoniecznie do szczęścia i tryumfu, to do końca okrutnych męczarni niepewności.

Siódmego dnia rano zjawił się u niego Bywalski, którego nie widział od dnia, gdy mu przyniósł odpowiedź Ireny i zachęcił do otuchy i dobrych myśli.

Zjawił się ze zwykłą spokojną pogodą, nieco lisią fizyognomią i przestraszył się Bernarda, pragnącego

by wszyscy doń zbliżający się, a cóż dopiero Bywalski, nosili ślady trawiącej go gorączki.

Appelstein struchlał. Jeśli ten jedyny przyjaciel był tak spokojnym i obojętnym, to czyż mógł on być pomocnym mu pośrednikiem? Gdyby był jednym z buchalterów swojego własnego kantoru, myślał, toby znalazł przyjaciela, któryby sprawę jego wziął do serca i nią się zajął, a zajęcie to odbiłoby się na jego twarzy.

Namiętny Bernard i pośrednictwo małżeńskie namiętnie pojmował.

— Jesteś dziwnie apatyczny—zawołał po chwili banalnej rozmowy—ja od zmysłów odchodzę! Ja o tobie, o każdym twoim kroku wciąż myślę, a ty jesteś tak spokojny! Czyż nie czujesz, że w twoich rękach jest życie moje całe?

Bywalski mu przerwał.

— Bardzo źle robisz, że się tak gorączkujesz. Myślałem że wy, bankierzy, jesteście rozumniejsi; że wiecie iż złoto wytwarza w XIX wieku taką gorączkę, iż wolnymi od niej są ci przynajmniej, co je mają. Ty powinieneś być zupełnie spokojny. Złoto za ciebie myśli, działa, knuje i...

— Chcesz więc mi powiedzieć, że jeśli Irena zdecyduje mi się oddać swą rękę, to dzięki temu tylko?..

— Wątpię byś i ty inaczej myślał... Jesteś złym graczem. Dobry gracz jasno widzi i patrzy w karty... Ty nie zrobisz karyery...

Bernard pobladł, a Bywalski, który dlatego może finanse tak lubił, że w nich jedynie za prawdę go za drzwi nie wyrzucano, dodał:

— Choćbyś się i ożenił z Ireną... Właśnie w tym interesie przybyłem do ciebie...

Tu urwał, nałożył monokl, ziewnął, przypatrzył się blademu i przerażonemu Bernardowi, uśmiechnął się niepostrzeżenie—bo go ten żyd zakochany, jak mawiał sam do siebie, bawił—i zaczął:

— Koroński nam przeszkadza... Nie wiem o ile się zaawansował, ale wiem że ani mu w głowie żenić się z panną Kohn lub Goldberg, jednak nam przeszkadza... Gdybyś kazał podać tego xeresu, który kiedyś podano do śniadania. Czuję potrzebę *d'un reconfortant...*

Bernard się zerwał i zadzwonił. Za chwilę Bywalski łykał z kryształowego kielicha napój topazowy, ślicznie w czeskiem szkle odbijający i dopiero wtedy znów powrócił do przedmiotu rozmowy.

— Koroński nam przeszkadza...

— Nam?

— No nam, to jest mnie i Edwardowi.

— Edwardowi?

— No, naturalnie. I on jest za tobą. *Ça va sans dire...* Znów cię chwytam na niepatrzeniu w karty. Przecież Starża, którego chciał utrzymać się przy majątku, nie dać siostrze szeląga, otworzyć sobie poważny kredyt, etc. etc., musi być za tobą.

Bernard się zamyślił. Nie mogło mu się to pomieścić w głowie. Starża, którego spotkał w klubie,

tak go nie znosił, iż formalnie unikał podawania mu ręki. On go uważał za swego osobistego wroga; Starża należał przecież do antisemickiej kliki Korońskiego.

Ale Bywalski ciągnął, mlaskając językiem, bo co chwila go zwilżał xeresem.

— Otóż umyśliłem, iż mógłbyś wprost napisać kilka słów do Korońskiego, zapytując go w sposób.. zgrabny... dałoby się to ułożyć... czy seryo myśli o pannie Starża. Odpowiedź Korońskiego byłaby czemś nieocenionem...

Bernard się zamyślił i wytrzeszczył ździwiony wzrok na przyjaciela. Ten rozumiał ten wzrok, bo z najzimniejszą krwią, udając iż nie spostrzega osłupienia bankiera, ciągnął:

— Ot siadaj przy biurku. Weź kartkę papieru; sprobujemy... Taki list byłyłby może rozstrzygającym... Taki list...

— Wiesz, że cię nie rozumiem. Ja mam pisać do Korońskiego? Ja mam pytać? — mówił ze zdziwieniem Bernard.

— Siadaj i pisz—podchwycił Bywalski.—Jeśli ci się nie będzie podobać, to nie wyślesz. Czy masz co lepszego do roboty?—nagle zapytał, nie chcąc przeciągać, a widząc że Appelstein się jeszcze waha—czy porzuciłeś może zamiary względem panny Starża?

Bankier wstał i ciężkim krokiem przeszedł do biurka.

Bywalski napełnił sobie kieliszek i niewypu-

szczając go z ręki, wygodniej rozsiadł się w krześle i powoli, namyślając się i popijając, dyktował, a raczej mówił obojętnym i bezdźwięcznym tonem.

— „Panie hrabio! Daruj mi, iż udaję się do ciebie w dość delikatnej sprawie. Że treść jej jednak może na wieki pozostać tylko między nami, więc obrałem tę drogę, prowadzącą najskuteczniej i najpewniej do celu. W ciągu karnawału starałem się o rękę panny Starża i zauważyłem, iż hrabia nosisz się może z temi samemi zamiarami. Nie potrzebuję Ci tłomaczyć hrabio, dlaczego Cię wprost zapytuję, czy tak jest rzeczywiście. Szanse twoje są o wiele większe i wdzięczny... wdzięczny... wdzięczny...

Tu urwał, uśmiechnął się i po dobrej pauzie podchwycił:

— „Wdzięczny byłbym ci dozgonnie... dozgonnie...“ Tacy Korońscy lubią dozgonną wdzięczność Appelsteinów i nawet na dowody jej do zgonu nie czekają: Napisałeś dozgonnie?

— Napisałem.

— A więc dalej... „Wdzięczny byłbym ci dozgonnie, gdybyś mi oszczędził dalszego, bezowocnego w takim razie z mej strony, starania się, tem trudniejszego wobec świeżo pokrywającej mnie żałoby. Sądzę, iż mi za złe hrabio nie weźmiesz, t. j. oryginalnej szczerości zapytania, która, jeśliby była w użyciu, oszczędziłaby ludziom wiele niewłaściwych wahań i zwlekań. Sądzę wreszcie, iż nie potrzebuję Ci dodawać hrabio, że odpowiedź Twoja pozostanie taje-

mnicą, do której my bankierzy jesteśmy przyzwyczajeni i obchodzić się z nią umiemy. Jeśli się starasz o pannę Starża, to ja zamiary me porzucę; jeśli nie, to może je dalej poprowadzę w nadziei, że jeśliby nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, to hrabio zatrzymasz moje zapytanie przy sobie...“

— Zakończ!

Tu Bywalski odetchnął, jakby po ciężkim elaboracie literackim, a wkrótce potem dał się słyszeć zgrzyt łabędziego pióra, niechybny znak znanego i zamaszystego podpisu reprezentanta firmy Appelstein.

VIII.

Irena jeszcze nie wiedziała co począć. Ostateczny termin naznaczony przez nią do dania odpowiedzi Appelsteinowi, zbliżał się, a ona po tylu dniach i tylu nocach cierpień nie wiedziała, jaką mu da odpowiedź.

Gdyby nie wierzyła w Korońskiego, gdyby niebyła prawie pewną, iż temuż podobała się silnie, gdyby nie była z ust jego słyszała niejednego wyznania, które mogła wziąść za deklaracyę...

Gdyby wreszcie ona sama się w nim nie kochała.

Bo Irena, spędziwszy kilka dni od ostatniego

balu sama z sobą, widziała prawie nadspodziewanie, iż ją nietylko może do młodzieńca ciągnęła chęć wyjścia za mąż i zostania hrabiną Korońską.

Portret hrabiego, który łechtał jej próżność w świecie, w wirze tańca i zgiełku ludzi, teraz w tych kilku ostatnich dniach, stawał w jej wyobraźni już nie jako portret lwa salonów, ze swą dziewięciopałkową koroną nad tarczą, lecz poprostu jako portret człowieka.

Koroński jej się podobał.

Rozpacz jej więc wzrastała w miarę zbliżania się terminu, w którym ostatecznie przecież wypadało dać odpowiedź Bywalskiemu.

A jakże ją dać, gdy Koroński mógł rzeczywiście mieć względem niej poważne zamiary, a ta odpowiedź kładła poprostu życie na kartę.

Jeśliby odmówiła Appelsteinowi, a hrabia Karol...

Do bankiera nie czuła się niczem pociągniętą, tylko temi fibrami, które w niej tak silnie zaczęły grać od pierwszego kroku uczynionego w świecie warszawskim.

Choćby nawet Koroński ją zawiódł, to mogła raczej czekać.

Czekać? czekać czego? Ileż ona widziała codzień tych panien bez posagu, które czekały i trawiły w sobie rozbujałe aspiracye do życia tego, w jakiem czekając i szukając, żyły.

Odmówić Appelsteinowi, nie wiedząc co jej

przyszłość przyniesie... Odmówić mu wobec tego, co jej Bywalski powiedział, wobec tego co jej co dzień półsłówkami Edward do zrozumienia dawał. Ciężyć dalej całym ciężarem kosztu domu, mającego córkę na wydaniu, na Edwardzie, tym ukochanym bracie? Prowadzić dalej tę egzystencyę, w której ta najstraszniejsza zmora, to jest względny niedostatek, codzień na trętniej zaglądał. Szukać męża, szukać go może rok, dwa, trzy, więcej—i wziąść wreszcie pierwszego lepszego, który się nawinie i nie zrealizuje ani jednej dziesiątej części jej marzenia!

Appelsteina brała na wagę. Zapewne szala nie odrazu z nim opadała, ale powoli, dodając to i owo, widziała w swej halucynacyi, jakby bankiera stojącego na talerzu wagi i ciężącego nią ku ziemi z nieprzepartą siłą.

Appelstein dawał jej wiele, dawał wszystko prawie prócz męża, którego uobrazowaniem od dzieciństwa się bawiła. Dawał jej wszystko prócz kochanka, w którego objęciach tyle nocy w gorączce panieństwa spędziła.

Ale w tej walce samej z sobą, niepoznawała się Irena.

Gdyby jej ktoś był zaproponował bankiera przed pięciu miesiącami? Czyżby się była namyślała, by parsknąć śmiechem w twarz proponującemu? A dziś tak poważnie się namyślała. Bo dziś była już zatrutą tym strasznym zarazkiem próżności światowej. I ona zdawała sobie z tego sprawę. Czuła, iż gdyby opu-

ściła miasto i znalazła się na wsi wśród piękna i czaru budzącej się natury, toby ani chwili nie walczyła z sobą, by znaleźć drogę wyjścia. Podszepnąłby ją słowik gruchający w kłąbie bzu, para jaskółek pracujących nad gniazdem i niepotrzebujących do szczęścia nic, tylko słońca i ciepła, tylko siebie i swoich sił.

Ale ona była w Warszawie. Setki ludzi pytało się z dnia na dzień, jak skończy swą tegoroczną świetną karyerę śliczna panna Starża. Czy zostanie na koszu, jak tyle, tyle innych? Czy też, jak prawdziwa królewna odniesie zwycięztwo w tej walce, zapamiętałej i zaciętej, która się nazywa w języku panien „*l'entrée dans le monde.*“

Starsze panny z zadrością śledziły jej oblicze, by zeń wyczytać, czy królewna opuści dumne czoło i uzna, że do realnego powodzenia w świecie nie wystarcza piękna figura i majestatyczny chód.

Powodzenie, sukces, to mąż, to mąż będący partyą.

I Irena czuła się ogarniętą gorączką próżności.

Appelstein czy był partyą?

Tak twierdził Bywalski. Tak twierdził Edward.

Tutaj gubiła się Irena, czy Appelstein był partyą.

Niedość była doświadczoną, by samoistnie pytanie to rozstrzygnąć. Tak twierdzili Bywalski i Edward. Takby się zdawało z haseł, pojęć, sposobu patrzenia na rzeczy tego świata, którego duchem żyła w tej chwili. Cóż w nim dawało stanowisko? Pieniądze.

Czy rzeczywiście?

Irena się zamyśliła. Przykłady przebiegały jej po głowie i wymowne, tchnące prawdą jak fakta, a straszne, zdawałoby się, stwierdziły tę prawdę czy paradoks.—Hrabianka Tita Oleśnicka nie wychodziła za mąż, bo nie miała posagu, a panna Goldberg nosiła historyczne nazwisko. Ostatnim z Tęczyńskich przerzucały, poniewierały szlachcianki, bo nie chciał regenerować swego domu w finansach. Stary książę Adam żywił się poprostu u Kohnów, bo go żywić niechcieli ci, w których gronie stracił krocie.

A więc tylko pieniądze znaczyły w tym świecie. Nazwisko, samo przez się, nie znaczyło nic, tylko podnosiło blask złota, gdy ono już było. Wychowanie, wykształcenie, cnoty—któż o nie pytał, jeśli nie były dodatkami milionów?

A więc Appelstein był chyba partyą. Bywalski, który zjadł zęby w tym świecie, miał słuszność gdy tak twierdził. Edward znał już lepiej od nas życie, gdy jej nie umiał dość zachęcić do rozwagi i namysłu.

Wzdrygnęła się. Ona z Appelsteinem do ołtarza, ona córka Emeryka Starży, który słynął w powiecie z antysemityzmu, ona wychowanka swej matki, która jednej rzeczy darować nie mogła swemu bratu, hrabiemu Kierskiemu, a to tej, że ją raz, temu lat piętnaście, zaprowadził na śniadanie do tworzących się wtedy Kohnów.

Mięszało się jej w głowie i wybuchła płaczem. Tym charakterystycznym płaczem cierpienia słabego

mózgu, niemogącego rozwiązać potrzebnej mu życiowej zagadki.

I tak w tej chwili było, gdy wszedł Edward spokojny na pozór, wewnętrznie trawiony gorączką. I on się bał decyzyi Ireny, bo ją mimo całego swego gniewu, kochał choćby uczuciem koniecznem w złączonej i wespół wychowanej rodzinie. I on przechodził paroksyzmy walki z sobą, Appelstein był ponętny, ale i wstrętny temu dziecku szlachty, będącemu typem znikających obywatelskich tradycyi, przesądów, cnót i wad.

— Płaczesz?

— Nie.

— Płakałaś?

— Nie.

Usiadł i dawszy chwilę czasu Irenie do ochłonięcia, zaczął tonem poważnym i spokojnym:

— Zamiast cierpieć, bać się, wahać, rozważ dobrze *pro* i *contra* i postąp odpowiednio. Sam żałuję, jeślim cię namówił do...

— Czy zmieniłeś zdanie? — podchwyciła Irena, podnosząc na brata załzawione oczy.

— Nie—czemprędzej odparł Edward—ale moje zdanie nie powinno ci ciążyć tak, iżby ogłuszyło twój rozsądek. Wszakże rozwaga tu jest bardzo łatwą. Co wolisz? Czy życie, czy może wegetacyę? Co wolisz? Czy abdykować ze wszystkiego, czy z części tylko? Przyszłość jest niepewną. Czy wolisz ją ryzykować, czy brać to, co ci fortuna teraz podaje? Wo-

łałbym, by się o ciebie oświadczył choćby Koroński, który może i nie ma wcale majątku, ale sam nie wiem, czybym cię znając, wolał Pietrasińskiego z Małej Gruszki niż Appelsteina. Ty jesteś kwiatem cieplarnianym, potrzebujesz innej atmosfery i innego światła, niż to w jakiem ci prawdopodobnie, idąc pospolitą drogą, żyć przyjdzie. Gdzież masz te panny bez posagu robiące partye? A choćby tylko na to, by żyć, partyę zrobić musisz. Miałabyś kiedyś, choćby za lat dziesięć, abdykować ze wszystkiego, to wolałbym abdykować dziś z tego i owego. Majątku potrzebujesz; świat lubisz. Salon twoim elementem. Gdybyś jak Ewelinka, marzyła o dworku i kurach, o ogrodzie i... Ale ty w jednej chwili polubiłaś hasła wielkiego świata... Nie namawiam cię bynajmniej. Oh! nie! I jeśli ci się zdawało przez te kilka dni, że byłem za Appelsteinem, to dlatego że chciałem, byś zrozumiała co to Appelstein, co to jest mieć dwakroć stotysięcy rubli w rocznym bilansie do rozporządzenia na swoją osobę. Wszakże tego rozumieć nie możesz i pojąć, jakie to za sobą przynosi satysfakcye, jak to ułatwia życie, jak je robi pełnem, pełnem! Wyszedłszy za Appelsteina, nie miałabyś nigdy czasu myśleć nad tem, co to jest Appelstein. Porwana byś była wirem, szumem pełnego życia.

— Pełnego?

— Chyba, bo chwile przypominające ci jego braki i ujemne strony, liczyłyby się na sekundy, a dnie składają się z godzin.

— Nierozumiem ciebie.

— Cóżby ci, na Boga, brakowało? Chyba tylko w mężu kochanka, choćbyś i tak do niego się przywiązała—zawołał Starża z odcieniem rozdrażnienia.

— A nazwisko?

— Nazwisko! ha! ha! Czyżeś nie uważała w świecie, że dla Appelsteina miano przeciętnie uprzejmiejsze miny tego roku, niż dla mnie. Czyżeś nie uważała, że książę Oleśnicki, który zaledwie mnie poznaje, z Appelsteinem chętnie rozmawia i pod rękę się oprowadza *en plein salon*? Czyżeś nie uważała, że księżna Drucka dając tygodniowe obiady dla towarzystwa, znalazła *un couvert* dla Appelsteina już dwa razy, a dla mnie ani razu. Gdy Appelstein wchodzi do klubu, rzuca się ku niemu Pilawski, kiwa nań od kart książę Rurykowicz, asystuje mu Bywalski, etc. etc. Gdy ja wchodzę do klubu, nie spotykam jednego witającego wejrzenia, bo nikt się nie spodziewa uzyskać odemnie niczego, ani nic wygrać, ani nic zarobić. Świat taki, a szczególnie świat warszawski. Wy panny nie widzicie...

— Owszem. I ja dużo widzę—przerwała Irena dziwnie smutna, blada i zamyślona.

Edward byłby mówił dalej, ale dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju.

— Bywalski!—zawołał.

— Bywalski!—szepnęła Irena.

Starża chciał wyjść, ale siostra go zatrzymała.

— Cóż mi radzisz?

— Nic nie radzę. Chodź ze mną. Nie myśl tak. Szkoda twych łez... Życie ich nie warte. Życie to hazard, a gracz który zastanawia się nad stawką, zwykle ją przegrywa.

Irena wstała, dziwnie wdzięcznym ruchem splotła ręce na głowie, jakby się przeciągając ze zmęczenia i mówiła:

— Jutro ostatni termin. Wypadałoby dziś dać odpowiedź Bywalskiemu. On po nią przychodzi może...

— Wątpię, by po nią tylko.

— Ale ja nie mam siły. Nie mogę jeszcze. Poproszę jeszcze o zwłokę...

— Zlituj się. Chcesz jeszcze spędzić kilka dni takich?

— Nie! — tu się zamyśliła i po chwili kończyła, przeprowadziwszy jakąś kombinacyę w głowie. — Jutro raut pierwszy u Ostojów... pójdę... i po tym raucie odpowiem. Dziś nie...

— Rób jak chcesz! Chodźmy!

Ale Irena z rękami splecionemi nad głową stała, jakby zahypnotyzowana. A była dziwnie piękną i uroczą, skoro zrobiła wrażenie na bracie, który ją uchwycił w objęcia i uściskał, szepcząc:

— Szkoda mi cię.

To obudziło dziewicę i jakby natchnęło otuchą. Otrząsnęła się i oboje przeszli do salonu.

IX.

Tu czekał już Bywalski, ale tym razem w liczniejszem gronie wieczornych gości. Pani Starża bowiem przyjmowała codzień na „filiżankę herbaty,“ a młodzież nie kazała się dwa razy prosić. Lubiono salon pani Starża, lubiono dla niej, a może więcej dlatego, że był w modzie. To brzmiało dobrze tej zimy: „wracam od Starżów,“ „idę do Starżów.“

To też podczas gdy Irena witała się z gośćmi, Edward zbliżył się do Bywalskiego i szepnął mu na ucho:

— Sprawa źle stoi...

— Owszem—podchwycił stary światowiec—wyśmienicie.

— Jakto?

— Mam talizman—szepnął Bywalski, kładąc rękę na sercu, czy też na pugilaresie, ukrytym w kieszeni fraka.

Edward chciał się oddalić, bo dostrzegł w salonie wchodzącego hrabiego Kinińskiego, a miał nadzieję że i jego urocza i bogata siostra, panna Marya, tego wieczora u nich się zjawi. Bywalski go zatrzymał z miną nagle tajemniczą:

— Ale *à propos*, powiedz mi szczerze. Twoja siostra kocha się w Korońskim?

— *Quelle idée*—obruszył się Starża—a co?

— Nic!—odparł już najlakoniczniej i wyniósł się do przyległego salonu. Tu wkrótce zjawiła się Irena, śliczna ze swemi błyszczącemi oczami na matowem tle wyjątkowo bladego oblicza. Ciemne obwódki dokoła tych czarnych brylantów, jakkolwiek zdradzały cierpienie, bezsenne noce i łzy, dodawały im blasku i odbijały tem silniej.

— Pogadamy, kochany panie swacie — szepnęła do Bywalskiego tonem swobodnym, bo myśl, że jeszcze będzie mogła odwlec odpowiedź, że jej na to pozwolił ten ukochany tyran Edward, że jeszcze zobaczy i wybada Korońskiego, napełniała ją chwilową otuchą.

— Pogadamy — powtórzył Bywalski, siadając pierwszy w kącie pustego saloniku, z którego jednak widać było część napełniającego się salonu. — Byłbym dzisiaj nie przybył, panno Ireno, gdyby nie przeczucie, że będziesz chciała pogwarzyć ze starym przyjacielem. — Tu wyciągnął do niej swą dłoń, uchwycił jej rączkę, przycisnął do ust, mówiąc: — Bo nie wiesz, jak szczerym ci jestem przyjacielem, jakbym pragnął cię widzieć szczęśliwą, ale to szczęśliwą bez tych obwódek dokoła oczu, choć ci one ślicznie do twarzy.

Irena się melancholicznie uśmiechnęła i podchwyciła:

— Więc mi rzeczywiście panie Bywalski jesteś przyjacielem?

— Pani!

— *De tout coeur?*

— Panno Ireno!

— I więcej moim niż pana Appelsteina?

Bywalski spoważniał.

— Robisz pani przykrość. Ta myśl, to przypuszczenie! Czyżbyś sobie źle tłomaczyła moje ostatnie słowa? Jeśli broniłem jego sprawy, to wierzaj mi że dla ciebie, nie dla niego. Cóż mnie on może obchodzić? Lubię go. Ot, sympatya salonowa śniadań i obiadów, dla których dziś jest odzież, frak i krawat.

Zamyślił się i ciągnął innym już tonem, bo mniej rozczulonym:

— Żal mi go. Jak ci to mówiłem panno Ireno, uchwycił mnie za serce wtedy nad ciałem ojca, swą męską szczerością w żalu i boleści. Uchwycił mnie za serce tem gorącem uczucia właśnie, które żywi dla ciebie. W tem uczuciu jest coś świeżego, silnego, namiętnego, coś takiego, co się określić nie da, ale co się już w naszym świecie małżeństw układanych nie spotyka. I nic dziwnego: świeższa dusza, świeższa krew, świeższe serce... To ma swoje znaczenie... Żaden z tych—tu ręką wskazał zgromadzonych w przyległym salonie—nie potrafiłby cię tak kochać. Ba! kochać? Czy który wie, co to kochać...

— Tak źle ich sądzisz?

— Jeśli pozwolili, dali czas, wyprzedzić się Appelsteinowi...

Irena opuściła oczy. Po chwili szepnęła:

— Jeśli o czas chodzi, to małżeństwa zwykle

składają się w poście, a jesteśmy dopiero u jego początku.

Bywalski znów zmienił fizyognomię. Zrozumiał niedbałe słowa panny Starża. Więc ona widocznie jeszcze na coś liczyła. Nałożył monokl i zanucił:

— Hahaha... Na jutro obiecała pani odpowiedzieć. Jeśli to nie będzie niedyskrecyą, to przyjacielowi możebyś powierzyła to, co mu jutro oficyalnie oznajmisz.

— Jutro poproszę swata jeszcze o tydzień zwłoki — odparła Irena, cedząc każde słowo z filuterną minką, z tą minką która jej robiła reputacyę kokietki.

— Biedny Bernard!—szepnął Bywalski.

Nastało długie milczenie. Panna Starża zapuściła wzrok w bezdeń, a Bywalski zerkając na nią ukradkiem, wyglądał wysoce niezadowolniony. On obiecał Bernardowi odpowiedź. Bankier zamknięty w swym pokoju, egzaltował się. Bankier Appelstein Bernard byłoto popsute dziecko pana Salomona, który nieprzywykł do przeciwności na tym świecie, do rumieńców, ukłóć i drażnień. On go przed chwilą ze łzami w oczach prosił: „Bywalski, nie każ mi jutro długo czekać. Oswoiłeś mnie z myślą mego szczęścia. Nie zwlekajże z przyniesieniem mi go.“ Gdyby nie to zaklęcie Bernarda, możeby dziś jeszcze nie był tutaj.

Chrząknął i zagadnął, budząc z letargu Irenę, bo się wzdrygnęła cała i wyprostowała. Ona tak daleko była od niego, Appelsteina.

— Panno Ireno! Wolno mi być szczerym, bar-

dzo szczerym? ciekawym, bardzo ciekawym? niedyskretnym, bardzo niedyskretnym?

Panna Irena Starża zrazu uśmiechnięta, spoważniała. Nie odpowiadała zaraz, nie odpowiadała tak długo, że Bywalski dodał:

— Pamiętaj, że ja jestem staruszek, przyjaciel twego ojca, bywalec, nie próżno się nazywam Bywalski, który bardzo dużo rzeczy widział i bardzo dużo takich jak ty królewien, choć nie tak cudnych, spowiadał.

— Chodzi więc o spowiedź?

— Gdyby?

— Słucham więc spowiednika. To zabawne być może... ta spowiedź w salonie...

— Ciebie panno Ireno — szepnął, obejmując ją wzrokiem, Bywalski—ciebie ten nicpoń Koroński bałamuci.

— Bała...muci?—zapytała blednąc dziewczyna.

— Jakże inaczej! Wytańcowywał cię niepróżno. Jabym wieszał takich trutniów. Myśli to o posagu, a madrygały prawi pannom, co go biorą na seryo. Poluje *de bougne main* na Kohnównę, a bałamuci mi Starżównę—dodał niby żartem.

— Mówiłam panu, iż tej wersyi o Kohnównie nie wierzę.

— Czyli inaczej, nie wierzysz że hrabia Karol myśli dziś li-tylko o posagu?

— Nie wierzę.

Bywalski nic nie odparł, poprawił się na kana-

pie, sięgnął ręką do bocznej kieszeni od fraka, wyjął z niej pugilares, z tegoż dobył list w kopercie i trzymając go w dłoni, a schowawszy portfel, mówił:

— Oto dowód, że Bywalski nigdy się nie myli. Oh! on zna swych gogów, zna ich jak...

Tu dopiero spojrzał na Irenę, której oblicze pałało.

— Ale — szepnął prawie z przestrachem — nie zdradzisz mnie pani, popełniam bowiem niedyskrecyę dla twojego szczęścia.

— Nie zdradzę—odparła kobieta, nierozumiejąca, zaciekawiona, usiłując odczytać adres położony na kopercie, a zakryty ręką Bywalskiego, cała drżąca, cała w poczuciu że się znajduje przed jakiemś ważnem odkryciem—nie zdradzę, ale nic nie rozumiem.

— Znasz pismo Korońskiego?

— Znam... znam...—powtórzyła pewniej, przypominając sobie, iż rzeczywiście je znała z listu, który pisał do jej matki, wymawiając się z jakiegoś proszonego wieczoru—znam.

Była już bladą, bo bijące serce wstrzymało odpływ krwi, pochłaniając ją całą. A więc to Koroński pisał, Koroński sam pisał, że jest... Nie wiedziała.

— To jego pismo?—zapytał Bywalski, podsuwając kopertę pod oczy Irenie.

— Je...go... — szepnęła kobieta bardzo powoli, i litera po literze, zamglonym od wzruszenia wzrokiem, czytała adres położony na kopercie pięknym charakterem: „Monsieur Bernard de Appelstein“ —

Koroński pisał do Appelsteina i pisał w przedmiocie interesującym ją, mającym jej być dowodem... Traciła głowę, ale była ciekawą. Wyciągnęła dłoń, by uchwycić kopertę. Teraz dopiero przestraszył się Bywalski, widząc zmienione oblicze panny Starża.

— Pani kochasz Korońskiego? — zawołał bezmyślnie.

Irena roześmiała się głośno i tak dobrze naturalnie, że światowiec wypuścił list z dłoni, który już ona chwytała w swe różowe palce. Rozwinęła papier i utopiła w nim wzrok wystraszony i pochłaniający. Hrabia pisał:

„Szanowny Panie! Zaufanie, jakiem mnie Pan w liście, na który odpowiadam, zaszczycił, zmusza mię poniekąd do szczerości i otwartości. Otóż zapewniam pana, iż nigdy zamiaru nie miałem starania się o pannę Starża; a jeśli zachowanie się moje w świecie to przypuszczenie Panu nasunęło, to się temu nie dziwię, gdyż panna Starża jak wszystkim tak i mnie podobać się musi. Ale między jednem a drugiem jest morze całe. I przykro mi niewymownie, jeśli moim sposobem zachowania się przy pannie Starża, nasuwałem innym podobne, jak Panu myśli i wstrzymywałem poważnych pretendentów o jej rękę.

Wreszcie zapewniam Pana, iż zapytanie jego pozostanie tajemnicą między nami, a cieszę się, iż szczerością mojej odpowiedzi zasłużę sobie na wdzięczność Pańską, którą wysoko cenię. Kończąc tę oryginalną odpowiedź, nie mogę sobie odmówić przyjem-

ności życzenia Panu z serca powodzenia Jego zamiarów, których wybór jest nad wszelki wyraz szczęśliwy. Łączę, etc.

Karol hr. Koroński."

Irena opuściła list na kolana gestem bezwładnej, opadającej ręki. Nic ją w tej chwili nie zajmowało, tylko szalona trwoga by nie zemdleć, by nie zdradzić głębokiej tajemnicy swego serca przed tym katem, który przy niej siedział. Serce jej biło młotem, miarowo, rzadko, jakby już, już ustać miało i uderzywszy jeszcze raz, pęknąć. Czuła palące gorąco w twarzy i taki rozstrój wszystkich fiber, iż zastanawiała ją w jej pomięszaniu ta okoliczność, że siedziała na miejscu na pozór może i naturalnie.

Żeby tylko mogła ochłonąć, przywołać maskę na oblicze, żeby tylko mogła oddać ten list Bywalskiemu z uśmiechem, z takim uśmiechem któryby obałamucił jego przypuszczenia! Żeby wreszcie mogła wstać i znaleźć się w swym pokoju, zdala od śledzących ją z przyległego salonu osób, zdala od Bywalskiego, którego w tej chwili nienawidziła całą straszną potęgą tej nienawiści, nieraz wymierzonej przeciw najlepszym przyjaciołom, trwającej sekundy, a zdumiewającej swą siłą!

Odetchnęła wreszcie i uczuła, że to serce które ją przez chwilę zdającą się wiekiem, tak bolało, nie pęknie. Uczuła, że zesztywniałe jej członki odzyskują sprężystość. Spróbowała podnieść swą rękę spo-

czywającą w jedwabnych fałdach sukni, i podniosła ją z tym strasznym, a przecież tak lakonicznym i przyzwoitym listem.

— Niero...zumiem — szepnęła, jakby na próbę— nierozumiem — powtórzyła głośniej, wyraźniej, naturalniej, oddając papier towarzyszowi.

— Pojmuję—odparł Bywalski—nierozumiesz pani zapytania Appelsteina. Rzeczywiście było ono oryginalne i śmiałe. Ale ja wysoko cenię oryginalność u ludzi w naszym świecie żurnali mód. Biedny Bernard, w chwili większej egzaltacyi zapragnął wiedzieć, czy nie ma w Korońskim rywala. Trzeba go wytłomaczyć, trzeba rozumieć te szalone kroki ludzi zakochanych, którzy zwykle są posłuszni intuicyi swej namiętności, a nie rozwagi. Trzeba je wyrozumieć i wybaczyć. Zdawało mu się, cóż naturalniejszego, że Koroński się pani podoba...

Bywalski genialnie tłomaczył przyjaciela, a Irena słuchała dźwięku słów jego, niesłysząc połowy, ale pragnęła by jak najdłużej mówił, bo zdawało się jej iż zanim skończy, ona zdoła ochłonąć. Głos nawet apatyczny i bezdźwięczny starego światowca, był jej teraz oprzytomniającą melodyą.

I gdy uczuła się żyjącą istotą, rzekła wstając:

— Rozumiem... zapewne... Ale skończmy nasze *tète a tète*, bo zaczynamy niepokoić całe towarzystwo.

Wstali i przeszli do salonu. Irena pierwsza, spokojna choć blada, uśmiechnięta tym niezrównanym wyrazem dobroci z zagadkową przymieszką

dumy i tryumfu. I nikt zapewne nie domyśliłby się dramatu rozgrywającego się w tej chwili w tej duszy patrzącej na świat dziewiczem, pełnem wdzięku spojrzeniem, postępującej majestatycznym krokiem kobiecym, który jej dał miano królewnej.

Nikt chyba nie zauważył zmiany w jej twarzy, prócz jednej Eweliny, która pobladła widząc wchodzącą Irenę, opuściła narzeczonego i podbiegła ku niej.

— Co ci?—szepnęła.

— Nic! nic!... tylko mi ułatwij, bym jak najprędzej mogła wyjść niepostrzeżenie, by mama nic nie spostrzegła.

Ewelina wsunęła swą rękę pod ramię Ireny, i obie przystanęły w pośrodku salonu, jakby przywołując dokoła siebie, jak to zwykle miało miejsce, rój mężczyzn i młodzieży.

X.

Około północy w salonach pani Starża panowało największe ożywienie.

Niewiedzieć dlączego tak dobrze bawiono się w tym domu. I dnia tego panowała wyjątkowa werwa, choć Ireny oddawna nie było w salonie, choć Ewelina zajmowała się przeważnie narzeczonym.

W tej chwili rozmawiała ona z Jesiołowskim o siostrze.

— Nie mam pojęcia co się dzieje, co zrobić zamierza—mówiła prawie strwożona.—Od tygodnia jest tak rozstrojoną, że miewa chwile w których jej nie poznaję...

— Cóż teraz robi?

— Nie wiem. Gdym przed pół godziną zajrzała do niej, leżała na szezlongu i nie usłyszała nawet, jakem wchodziła.

— Nie rozumiem tego wszystkiego — obruszył się Jesiołowski.—Albo się Appelsteina przyjmuje, albo się mu odmawia, ale te zwłoki, te namysły.

Ewelina ruszyła ramionami, a młodzieniec objął ją ciekawym wzrokiem i zapytał:

— A ty, Ewelinko, na jej miejscu, takżebyś się nad Appelsteinem zastanawiała?

— Ah! Ja, to zupełnie co innego—podchwyciła panna Starża.—Irena od najmłodszych lat przepadała za światem, za szykiem, za tem wszystkiem co dają pieniądze... A teraz, po tym karnawale... Ta zima źle na nią wpłynęła.

— Jakto?

Ewelina zamyśliła się, jakby sobie coś przypominając, i rzekła:

— Powiedziała mi kiedyś, że nie rozumie życia bez szumu i porównała takie nasze zwykłe wiejskie życie, do butelki szampana, który wywietrzał. Jeśli to pragnienie szumu, wielkiego życia jest w niej chwi-

lową pobudką, to truchleję, by dla niej nie zrobiła nierozważnego kroku.

— Przecież naturę twej siostry znać musisz?

— Ależ między dawną Ireną, a dzisiejszą, jest ogromna różnica. *Elle frise le lievre.* Nie widzisz tego?

Jesiołowski się uśmiechnął i nic nie odparł.

Równocześnie Edward Starża brał na stronę Bywalskiego, by się dowiedzieć przyczyn zniknięcia siostry po rozmowie z nim.

— Nie wiem—tłomaczył się Bywalski.—Na te rzeczy się nie zważa. To są symptomaty całkiem naturalne. Te obawy i trwogi przed wypowiedzeniem decydującego o przyszłości słowa...

— Czy uwierzysz?—szepnął innym tonem Starża, pobudzony i zarumieniony—że ta panna Kinińska dyablo mi się podoba... — tu spojrzał pytająco na towarzysza.

Ten przybrał dyplomatyczną minę i bąknął:

— Wierzę...

— Czy myślisz, że miałbym jakie szanse?

— Hm... *preciso no.* Panna Kinińska? *primo* dwakroć, wtóre hrabianka i to dobra, *tertio* piękna... a ty?.. *primo* nic, *secundo* tylko Starża, *tertio*... no! *passe...*

— Więc mi brakuje majątku i tytułu.

— Tytuł wziąłbym na siebie, gdyby się znalazł majątek, choćby reprezentujący w oczach papy Kinińskiego połowę majątku jego córki.

— A Zabuże? sądzisz, nie dałoby się tak otaksować?

— Zabuże? — podchwycił zdziwiony Bywalski— Zabuże? ha! może. Gdybyś tak potrafił spłacić siostry i przeprowadzić działy spadkowe... Gdyby to Zabuże było twoje...

— Przecież... — szepnął zakłopotany Edward — ono jest moje... będzie moje.

— Twoje, twoje dla mnie, dla ciebie, ale nie dla świata, który wierzy tylko w wykaz hypoteczny; nie dla Kinińskiego, który tego tylko uznaje za porządnego człowieka, który ma hypotekę czystą. Powiedział to wyraźnie.

Starża wysoce się zakłopotał, prawie zmartwił.

— Toby była partya—szepnął.

Bywalski pociągnął go dalej ku pustemu salonikowi i prawił dykcyą człowieka, kombinującego trudne rzeczy.

— Jeśli Irena zdecyduje się na Appelsteina, to oczyścić hypotekę Zabuża byłoby łatwiej, niż wypić kieliszek szampana. Irena, naturalnie, odpadłaby i wzięła na siebie matkę... Wziąłbyś od Bernarda czek na trzydzieści tysięcy, spłacił Jesiołowskiego i miałbyś czystą hypotekę, to jest tytuł własności czysty...

— A długi hypoteczne?—szepnął Starża.

— Ha! ha!—zaśmiał się Bywalski—to głupstwo! Szwagier Appelsteina ma kredyt; zamienić długi hypoteczne na długi wekslowe, jeślibyś nie chciał prosić

i o tę grzeczność Bernarda, byłoby kwestyą dziesięciu minut.

Starża westchnął, a policzki mu krwią nabiegły.

— Tak! — myślał — Bywalski ma racyę. Cóżby to znaczyło wtedy, gdyby szwagrem jego był zakochany w Irenie Appelstein, oczyścić z wpisów hypotecznych pierwszego, drugiego i trzeciego działu, całe Zabuże? A pan Zabuża mógł pretendować o rękę hrabiny Kinińskiej; wszakże jego dziad ożenił się z Piławiecką. Zabuże czyste, dawało pańską pozycyę w świecie, w którym majątek przedewszystkiem nadawał stanowisko.

— Ta Irena! — syknął z niecierpliwością, wysuwając rękę z pod ramienia Bywalskiego.

Potoczył oczami po salonie i zagryzł wargi. Ireny nie było. Pewnie szlochała w swym pokoju zamiast tu w salonie przygotowywać sobie przyszłą pozycyę pani Appelstein, wielkiej bankierowej ze Starżów, jakiej jeszcze w Warszawie nie było.

W tem coś sobie przypomniał; siwe oczy mu zabłyszczały metalicznie. Posunął się znów ku Bywalskiemu, trącił go w ramię i zapytał szeptem:

— Mówimy, a nie wyczerpujemy kwestyi. A kto wie, czy małżeństwo Ireny z Appelsteinem nie popsułoby moich szans? Jeszcze są prądy...

— Ha... ha! Nie u Kinińskich, nie w *high life*. Ten świat wyżej ceni Appelsteina, niż Jesiołowskiego. Już tyle lat bywasz w świecie i jeszcze nie znasz ich

haseł. Sam Kiniński nieraz przez ciebie udałby się do Appelsteina, i odrazuby mu to do głowy przyszło.

— Sądzisz?

— Ja nigdy nie sądzę, tylko wiem.

Edward odzyskał poprzednio podrażniony wyraz. Spojrzał w stronę panny Kinińskiej, która z tym odrębnym, charakterystycznym a ujmującym wdzięku kobiecie, wyrazem bogatej dziedziczki, pozwalała się bawić kilku młodzieńcom, siedząc obojętnie na fotelu. Jeśli się nie pośpieszy, to mu ją kto zdmuchnie... tę pannę, łączącą takie dwie rzadko idące w parze cnoty, majątek i urodę, tę pannę dumną, pewną siebie—obytą, któraby doskonale potrafiła podnieść Starżów, pochodzących z pierwszych rzędów hierarchii społecznej.

Potrafiłaby ich może nawet z *highlife*'ować, wyrwać z obywatelstwa, a wśrubować w świat. Jego ojciec wprawdzie miał pogardę dla całej tej klasy *highlifem* zwanej, ale on tego zdania nie podzielał i szczególnie teraz, po tej zimie w Warszawie. Starżowie nosili się bardzo wysoko. Jeśli nie mieli tytułu, to dlatego że dziad jego nie przyjął go, twierdząc, że Starża z dodatkiem raziłby polskie uszy. Ale on nie był tego zdania. Zresztą tytuł papieski nawet lepiej brzmiał w tym świecie, w którem żenującem było, choćby tylko dla służby, nie mieć go. A ekwipaż z monogramem lub herbem, z pięciopałkową koroną, był poprostu niemożliwy w Warszawie, gdzie Appelsteiny mieli takiż i Kohnowie! Można było, nawet dobrze było być

w Królestwie Polskiem tylko szlachcicem z nazwiskiem tego brzmienia, co Starża, ale nie w Warszawie, gdzie lada chwilę jaki wzbogacony Apfeltisch lub Fischdiament, mógł się wywieść z panną Kosińską od jakich Starżów — i on, Edward, ujrzałby swój własny herb na drzwiczkach karety, w którejby siedział wykopany z Nalewek żyd. W Warszawie trzeba było być hrabią, bo finansom jeszcze do głowy nie przyszło legitymować się zarazem ze szlachectwa i z tytułu. Przynajmniej tego wypadku jeszcze nie było.

Ocknął się i poszukał Ireny. Nie znajdowała się jeszcze w salonie. Rozmyślała tam w swoim pokoju, zamiast mu tu pomagać, zamiast korzystać z obecności panny Kinińskiej u siebie w domu.

Pośpiesznie, rozdrażniony wybiegł z salonu i prosto podążył do pokoju Ireny. Właśnie poprawiała nieporządki toaletowe u swej fryzury, gładziła hebanowe pukle jedwabistych włosów.

— Więc wreszcie zdecydowałaś się wyjść, bo za chwilę zaczną się rozchodzić.

— Czyż mi nie wolno zasłabnąć?

— Niewolno!—zawołał z irytacyą;—gdy się jest u siebie, gdy się u siebie przyjmuje pannę Kinińską, gdy się o tę pannę Kinińską stara brat rodzony i gdy się ma trochę taktu i *savoirfaire*.

Urwał wyrzuciwszy to jednym tchem, zdumiony dziwnym wyrazem twarzy Ireny, która mu się teraz dopiero, odwróciwszy się od lustra, pokazała. Takich rumieńców jeszcze u niej nie widział. Gorąco bucha-

ło od jej policzków, a oczy błyszczały wyrazem, którego nigdy, ale to nigdy u niej sobie nie przypominał. Było coś twardego w tych oczach zawsze łagodnych, dziewiczych.

Urwał i zdało mu się, że pierwszy raz w życiu miał przed sobą kobietę, a nie panienkę, jaką zawsze w siostrze widział. Zmięszany własnemi słowy, które mógł skierować do Ireny, ale nie tej jaka przed nim stała, poważnej, stanowczej, zdecydowanej i wiedzącej co robi, kobiety.

— Byłaś... jesteś rzeczywiście cierpiącą? — szepnął.

— Nie! już minęło... migrena... Mówisz, że nie długo wyjdą. Chodźmy!

Ruszyła pierwsza, gładząc rękami policzki jakby je chłodząc zimnemi dłoniami.

U drzwi do salonu, za któremi panował ten gwar właściwy ożywionym rautom, przystanęła z ręką na klamce i szepnęła do brata.

— Ale *à propos.* Być może, iż nie będę miała sposobności mówienia z Bywalskim. Powiedzże mu, że się namyśliłam... — tu jakby wstrzymała suche łkanie i dodała:—przyjmuję pana Appelsteina.

Otworzyła drzwi i weszła do salonu.

Ale Edward nie wszedł za nią. Sądziłby, iż mu się zrobiło słabo, gdyby mogło mu się zrobić słabo. Opuścił się na krzesło, stojące w tym przedpokoju u drzwi i patrzył błędnym wzrokiem. Przecież nie był pijany, a po głowie mu się plątały takie myśli,

jakie tylko mu przychodziły po pijanemu i to z indywidualną szybkością. Całe życie przesunęło mu się przez głowę z chyżością iskry elektrycznej, z którą tylko wyobraźnia człowieka może iść w zawody. To widział Irenę dzieckiem na kolanach ojca, to ją widział dziewczynką i słyszał, jak na niego wołała „Edziu“, to znów, jak niedawno, wpatrzoną w Korońskiego.

Westchnął. Tak mu było poprostu strasznie na sercu, a przecież znajdował się niespodziewanie u mety. Przecież wszystko czego pragnął dla siebie, miało iść już gładko, jak twierdził Bywalski, znający świat na palcach i słyszący jak trawa w nim rośnie.

A było mu tak na sercu ciężko, tak ciężko, jak gdyby dopiero co wyszedł z jakiej nory, w której brał udział w jakiejś ohydnej zbrodni.

Ale tam gwar się wzmagał, jak zawsze pod koniec rautu, tego zbiegowiska ludzi, nie mogących się do syta wygadać.

Wstał, wszedł do salonu i zaraz natknął się na wychodzącego już Bywalskiego.

W jednej chwili ochłonął. Świat ma to do siebie, iż rozwiewa w jednej sekundzie najstraszniejsze wrażenia i najwrażliwsze usposobienia tych, którzy mu hołdują. Gdyby tego nie miał, ludzie by sobie *en plein salon* we łby strzelali — mawiał stary Ostoja.

XI.

Nazajutrz o godzinie pierwszej popołudniu stanęło znane i najpoprawniejsze *coupé* Bernarda Appelsteina przed domem, w którym mieszkała pani Starża. Wyskoczył zeń bankier w żałobie, ale świeży, strojny i rozpromieniony.

W salonie na pierwszem piętrze czekała nań już Irena, śliczna w swej rannnej pluszowej czarnej sukni, ubranej żółtym atłasem, spokojna, choć blada i smutna. W pośrodku sali, w olbrzymim wazonie sewrskim tkwił bukiet z białych i różowych kamelij, tak wielki, jakiego może jeszcze nie widziano. Była to ranna i pierwsza przesyłka pana Bernarda, zwiastująca wyśmienicie szereg tego rodzaju niespodzianek, świadcząca o jego dobrym guście, o wielkim pokroju jego pomysłów.

— Pan Appelstein! — zawołał lokaj i obudził Irenę z odrętwienia, w jakiem stała nad tym bukietem.

— Prosić! — odparła z wysiłkiem i właściwym jej ruchem ramion, wyprostowała się niejako i zwróciła ku drzwiom, w których stanął niebawem zażenowany, choć rozgorączkowany Bernard.

Podbiegł ku niej, uchwycił jej obie ręce, których zimna nie czując, mówił:

— Pani uszczęśliwiłaś mnie nad wszelki wyraz. Gdybym tylko połowę tego szczęścia, które dziś w sobie czuję, mógł ci zapewnić, tobyś była szczęśliwą!

— Postarasz się pan o to — odparła Irena z tym uśmiechem, który sam przez się podbijał, który słowom, jakiemikolwiek były, dawał wrażenie pełne wdzięku i dobroci — postarasz się pan o to, nie wątpię, jakkolwiek tak mało pana znam...

Appelstein się rozczulił i łzy niemal stanęły mu w oczach, bo prawdziwemu uczuciu tak o łzy łatwo.

— Wiem — odparł drżącym głosem — że mi nie oddajesz swej ręki wiedziona tem jednem uczuciem, niepotrzebującem rozmysłu, a któreby może mnie zanadto uszczęśliwiło... ale mimo to twą rękę przyjmuję z silną wiarą, że znajdzie w mojej dłoni wszystko, co kobieta od mężczyzny szlachetnych uczuć, uczciwych zasad i gorącego serca żądać może...

Irena się teraz na dobre rozczuliła. Ten bankier którego znała napuszonym ze swych milionów i wyzywającym, a który teraz stał przed nią pokorny i z temi łzami w oczach, do jakich nie przypuszczała, by był zdolnym, rozbroił ją, ogrzał jakiemś ciepłem, napełnił jakąś otuchą. W jednej sekundzie wydał się jej innym człowiekiem, jakiego nigdy nie znała, człowiekiem niemal interesującym, a więc i pociągającym.

— Panie Bernardzie — szepnęła głosem załzawionym, pierwszy raz w życiu nazywając go po imieniu. Dotąd był dla niej tylko panem Appelsteinem. Nagle w jednej sekundzie, magiczną siłą błysku łzy prawdziwego uczucia, stał się tylko „Bernardem“. — Panie Bernardzie — powtórzyła — wierzę ci i to jest jedyną pobudką mej odwagi, że ci me życie powierzam.

Wiesz bowiem, jak sam się trafnie wyraziłeś, że nie kieruje mną to jedyne uczucie, które ani tygodnia namysłu nie potrzebuje. Ale, ale... zapewnić ci mogę...

— Niczego od pani dziś nie żądam, niczego!—zawołał jeszcze bardziej pobudzony Bernard — nie zobowiązuj się do niczego, bo znam cię o tyle, że więcej dotrzymasz niż obiecujesz...

Irena się uśmiechnęła, a ulegała jednemu z tych niezrozumiałych, minutowych wrażeń, wypływających z roztkliwienia.

— Nie wiem... — szepnęła — ale wiem tylko że uczciwą żoną być potrafię.

— To dużo, to bardzo dużo — odparł Bernard, pragnący najwidoczniej scenę tę zbyt wiele go kosztującą, skrócić.

Teraz dopiero przeszli do drugiego salonu, gdzie ich czekała cała rodzina. Pani Starża blada, drżąca, nie mogąca wydusić jednego słowa ze ściśnionego serca, w odpowiedzi na gorące podziękowanie bankiera; Ewelina pomięszana, Edward nawet z dziwną nutą w swym głosie. Była to przecież dla rodziny uroczysta i bolesna chwila. Nikt w niej nie przypuszczał wczoraj, że dziś w roli przyszłego członka rodziny przyjmie Appelsteina—ani matka która w głębi serca pragnęła, jakkolwiek się z tem nie zdradzała, by Irena odmówiła pretendentowi; ani Ewelina, przewidująca raczej wszystko, niż tę nagłą decyzyę siostry; ani Edward nawet, który ją naciskał a równocześnie się cofał. Ta decyzya bądź co bądź bałamuciła ich, nie mo-

gli się połapać w tem, co ona ze sobą przynosiła, jak i o ile ich wykolejała moralnie i na jakie tory wprowadzała łódź rodzinną.

Appelstein miał być zięciem, szwagrem Starżów, Starżów których tradycye go nie rozumiały, ambicye nie uznawały, pojęcia nie pojmowały.

Appelstein był już między niemi—między niemi, którzy po oświadczynach, wczoraj jeszcze, mówili o nim jak o żelaznym wilku.

Młodzi łatwiej się godzą z wypadkami, stojącemi w sprzeczności z ich poglądami, ale starym trudno przychodzi branie udziału w takich okolicznościach życia, w których się sami jako asystenci, sobie dziwią. To też pani Starża błędnym wzrokiem wpatrywała się w tego przyszłego zięcia, na którego dotąd patrzyła jako na Appelsteina, ale nie jak na mężczyznę. Wpatrywała się tak dziwnym wzrokiem, że Bernard się sam siebie pytał, czy ta matrona, w świecie tak dobrze wyglądająca, tak *à propos* się znajdująca, nie była jedną z tych czysto salonowych starych lalek, jakie się jeszcze w naszem stuleciu, pamiętającem epokę wszechwładzy salonu, trafiają, lub też przedwcześnie zdziecinniałą niewiastą.

Ale bo też sama pani Starża doznawała uczucia lekkiego pomięszania swych słabych, wskutek wydelikacenia zmysłów. Ona, z Lewiczów Starżowa, żona pana Adama, prezesa i marszałka, córka Hilarego, ona dziś przyjmowała za zięcia Appelsteina, bankiera

ze świeżych finansów warszawskich, dla swej córki Ireny.

Ona dziś przyjmowała za zięcia Appelsteina! To było za wiele na jej zmysły, ruchliwe i pojętne, ale w kierunku tradycyi i poglądów, w jakich się ukształciły.

To też milczała, milczała jak zaklęta i czuła się nieśmiałą, zażenowaną, strwożoną—ona, co królewski wygląd przekazała córkom, a w młodości na pokojach hotelu Lambert w Paryżu zwracała uwagę swem wielkopańskiem wzięciem.

Dziś nie znajdowała kilku słów odpowiednich, jakiemi matka ukochanej córki winna powitać jej przyszłego męża.

Nie znajdowała ich mimo formalnych wysiłków swego starego mózgu. — Nie znajdowała, choć je znaleźć chciała, bo ten Appelstein nawet się już podobał, skoro go brała Irena; bo od niepamiętnych czasów dała słowo nie wpływać na wybór córek, od czasów, kiedy jej rodzona siostra, nie mogąc uzyskać pozwolenia rodzicielskiego na upragniony związek, otruła się morfiną.

Wszystko to stawało w myśli pani Starża i odejmowało jej przytomność umysłową do tego stopnia, że dalej milczała, kiwając tylko głową i uśmiechając się wyrazem raczej bezmyślnym i bolesnym, niż radosnym.

I biedny Bernard tracił kontenans w tem zgromadzeniu, w którem jedna Irena jeszcze miała najwię-

cej przytomności i choć odrobinę znajdowała dla niego ośmielającego uśmiechu.

Pierwszy Edward się ocknął i dał impuls rozmowie, która zrazu płynęła trudno, lecz wkrótce dzięki okoliczności, że tu chodziło o założenie fundamentów pod nową i niezwykłą egzystencyę, ożywiła się.

— Mam nadzieję, że będziemy dobrymi szwagrami — odezwał się Appelstein do Starży na pożegnanie.

— Gorąco tego pragnę — odparł Edward i pragnął rzeczywiście, bo wczorajsze projekta przez Bywalskiego umożliwione, coraz silniej utkwiły mu w głowie i napełniały go gorączką wykonania.

Gdy Bernard przedłużywszy wizytę o wiele ponad nazwę wizyt, oddalił się, pozostawił za sobą w saloniku pani Starża najróżnorodniejsze wrażenia. Nie był to człowiek niesympatyczny—to też nic dziwnego, że prawie zyskał sympatyę tego kółka, które możliwości kochania Appelsteina nie przypuszczało, ale kochać narzeczonego Ireny gorąco pragnęło.

Irena uczuła nadzwyczajne zmęczenie, tak silne, tak z przyczyn niewytłomaczone—że się wysunęła, by w samotności rozebrać stan swej duszy. Ten Bernard był podobnym do wielu, wielu którychby może kochać potrafiła. Ta łza jego, którą wciąż igrającą w siwych oczach bankiera widziała, była dla niej jakby punktem wyjścia we wszystkich rozmysłach. Mężczyzna co umie zapłakać, potrafi sobie w pewnych okoliczno-

ściach życia dziwnie przywiązać kobietę, jako też ją czcić.

W tym wypadku Bernard zyskał łzą tylko część Ireny. Czuła to i zdawała sobie z tego sprawę. Jeśli będzie miała za męża Appelsteina, którego może nigdy pokochać nie potrafi, to będzie w nim miała człowieka, którego natura dobrą być musiała, bo złość w szczęściu łzy nie znajduje.

Czuła to...

— Czy Koroński umiałby zapłakać w takiej chwili, w takiej?—nagle zapytała.

Nie znajdowała odpowiedzi i rozpędziła coprędzej te myśli pytające. Cóż ją mógł obchodzić Koroński, cóż on ją mógł dzisiaj obchodzić? On, którym zajęta przez ostatni miesiąc żyła; on, który był może przyczyną, że człowieka będącego dziś jej narzeczonym, nie znała; on który jej się wyparł, który jej pierwsze i najstraszniejsze zadał cierpienia; on, co ją rozżaloną, płonącą rumieńcem wstydu i obrażonej miłości własnej, Appelsteinowi rzucił.

Czy ten Appelstein, znajdujący łzę w oku na widok może jej śmiertelnej żałości, nie był więcej wart od niego?

Ale Irena długo marzyć nie mogła. Dziś wieczorm jeszcze musiała się pokazać w świecie z tym olbrzymim bukietem kamelii, musiała wystąpić po raz pierwszy w swej nowej roli na deskach tej sceny, na której

żyć zamierzała, na której, aby grać rolę z powodzeniem, może po części Appelsteina przyjmowała.

I dziś wieczorem jeszcze miała spotkać Korońskiego, o którym wczoraj myślała, że się może jeszcze dziś oświadczy. Myślała wtedy, gdy on ten list pisał...

— Ha, ha, ha!... — rozśmiała się głośno i nerwowo, śmiechem w którego metalicznym dźwięku, nie poznała sama siebie.

Ocknęła się i zerwała z szezlonga.

— Stało się... stało!..

Zacznie nowe życie, zacznie je bez iluzyi, ale z pieniędzmi. Zobaczy!

Ale obsunęła się zaraz.

— Czy ona będzie miała tylko siłę je zacząć? Czy będzie miała siłę przeżyć tę epokę, dzielącą kobietę od chwili, w której się znajdzie na stopniu ołtarza! Tę epokę najcudniejszą w życiu niewiasty, od której sobie tyle obiecywała, dla której żyła, której niepojętemi czarami się bawiła, odkąd istotą się poczuła.

— Ha, ha, ha! narzeczoną Appelsteina?

Otworzyła szeroko oczy i zatopiła je w przestrzeni.

— Czy możliwem było kochać Appelsteina?

Długo przebyła w rodzaju odrętwienia fizycznego i moralnego, skamieniała na szezlągu z założonemi bezwładnie rękami, z oczami wychodzącemi ze źrenic.

— Czy możliwem było kochać Appelsteina?

I w chaosie tańczących dokoła niej przedmiotów,

migało wciąż oblicze bankiera nie piękne, nie pociągające, nie rycerskie, nie uzmysławiające tego typu, w który kochanków stroiła, ale przecież sympatyczne z temi łzami zwilżającemi siwe, wyraziste oczy.

XII.

Irena ostatni raz wtedy rozmyślała. Nazajutrz porwał ją szalony wir życia domu, w którym prześliczna panna wychodziła za arcymilionera. Oszołomioną została tym szumem, z jakim płynęły dnie—do tego stopnia, że nie mogła zebrać myśli ni znaleźć pory po temu. Oszołomioną była wszystkiem, od świtu do nocy—wrażeniami nie mającemi czasu ustąpić jedne drugim, zmianą olbrzymią zaszłą w jej pozycyi, której analizować nie miała czasu.

W gorączce pobudzonych zmysłów, w wirze niespodzianek, doznawała nieraz wrażenia, że się znajduje pod olbrzymim rogiem obfitości i wciąż jest zasypywaną wylatującą zeń ulewą przedmiotów, kosztowności, kamieni i kwiatów.

Bo Bernard korzystał z każdej sposobności, by jej pokazać jak o niej myśli, by jej dać przedsmak tego życia w krociach, jakie ją czekało; by ją olśnić i ol-

śnioną do wdzięcznego uśmiechu zmuścić, do uśmiechu któryby robił mu iluzyę miłości.

Nie było końca i miary podarkom, bukietom. Sama zapomniała wieczorem co dostała rano, co posiadła wczoraj, a wszystko błyszczało od brylantów, rubinów, pereł i szmaragdów. Nieraz w wieczór zasypiając, zmęczona dniem przepełnionym akcyą, cierpiała formalnie na tej halucynacyi, która nie dawała jej zasnąć, tylko migotała przed zamkniętemi oczami blaskami drogich kamieni, czy materyi, a dźwięczała w uszach perłami, szeleściła jedwabiem i pluszem.

Poprostu cierpiała tem indywidualnem cierpieniem zmysłów, zmęczonych nadmiernemi wrażeniami w pewnym niecodziennym, a denerwującym kierunku.

Bo jakże mogła nie być zdenerwowaną bezustannym dźwiękiem złota, ta istota wychowana w skromności i w wynikających z tejże niezaspokojonych pragnieniach? Jakże mogła nie być zdziwioną i wykolejoną tym potokiem płynącego obok niej i dla niej złota, ona, którą świat nauczył go pragnąć i zazdrościć—ona, co brak tegoż uważała za jedyną zaporę do zupełności rodzinnego idealnego szczęścia.

Bernard był hojny, był więcej niż wspaniały, był marnotrawny. Nie było dnia, któryby się obszedł bez kosza nicejskich kwiatów, lub bransolety od Brigueta, lub perły, albo jednego z tych tysiąca drobiazgów kosztujących sumy, i tem może jedynie miłych. Szła do teatru, to w loży na aksamitnej poręczy znajdowała puzderko, położone dyskretną ręką—czyjąż by, jeśli nie

Appelsteina. A w puzderku lornetka szczerozłota, wysadzana i emaliowana, którą Irena zrazu żenowała się do oczu przybliżyć, by nie olśnić widzów i aktorów blaskiem niezwykłym. Pierwszego ciepłego dnia, w którym *high life* warszawski zaczął pokazywać w Alejach swoje ekwipaże, Irena wychodząc z bramy domu, zastała przed nim stojący ekwipaż niewieści, koszyk pokryty pluszem, sprowadzony z Paryża, wybierany i sprzęgany przez samego hrabiego Mikołaja. A co wieczór obudzała szmer wśród panien, to nowym klejnotem, to bukietem niewidzianej oryginalności, to wachlarzem malowanym przez Siemiradzkiego, to toaletą, która przyszła rano w kartonie z firmą Wortha.

— Widziałaś perłę, wachlarz, kolczyki Starżówny?—pytano po rautach.

A zapraszano Starżów jak nigdy. Świat pasyami lubi te spacery po swoich salonach młodej narzecznej, gdy jest tak piękną jak Irena, gdy ma otworzyć podwoje nieznanego pałacu Appelsteinów, do któregoby i antisemici śmiało wejść mogli pod pozorem, że idą do Starżównej.

To wszystko ją oszołomiało i nie pozwalało nawet zdać sobie sprawy z położenia rzeczy.

To wszystko ją ogłupiało.

Ona myślała, że się będzie musiała wstydzić narzeczonego Appelsteina, że ją to narazi na ulicy, w sklepie, w teatrze, w świecie, na niejedno zbyt ciekawe spojrzenie, na często zagadkowy uśmiech.

Jakież było jej zdziwienie, gdy zmuszoną była

zauważyć, że ją zaszczycano o wiele większemi oznakami szacunku i poważania, niż wprzód, gdy była przecież także panną Starża.

Właściciel domu, w którym mieszkali, dość pogardliwy w ukłonach, dziś się zginał we dwoje przed Starżami, gdy ich spotykał, a w Irenę patrzył jak w tęczę.

Od tego magicznego dnia, w którym obiecała swą rękę Appelsteinowi, wywoływała popłoch subiektów w sklepach, które odwiedzała, a w których dotychczas nie robiła żadnego wrażenia.

Dotąd, jeśli ją podobne spotykały awanse, przypisywała je swej urodzie. Nie mogła teraz niewiedzieć, o ile też mniej ludzi jednała od tego, czego się wstydzić obawiała.

W świecie nawet, w tym świecie w którym po za oczami krzywiono się na finanse, dziś ją inaczej witano. Niejeden z mężczyzn, którego nie porywała dotąd swym wdziękiem, który się oparł modzie, teraz starał się do niej zbliżyć i poznać ją.

Co to było? Co to miało znaczyć? A ona truchlała na myśl swego pierwszego występu z bukietem w ręku, jako narzeczona bankiera.

Bała się zimna, milczenia, oburzenia czy pogardy.

Dotąd czuła niemal, że powodzenie zawdzięczała kapryśnej modzie. Teraz doznawała wrażenia, iż je miała oparte na jakiejś silniejszej podwalinie. Czyżby jej piękność tak zyskała na tym naszyjniku z pe-

reł, wartującym podobno sto tysięcy rubli, który od Bernarda dostała w dniu zaręczyn?

Czyby może było zwyczajem świata, otaczać więcej przyszłe mężatki niż panny?

Nie umiała sobie tego wytłomaczyć. Raz wprawdzie uchwyciła spojrzenie pani Korońskiej, które ją zażenowało, gdy z uśmiechem lornetowała i chwaliła jej perły. Raz księżna Drucka przypatrywała się jej jakby smutnym wzrokiem, który ją przeraził prawie. Potem Ostoję podchwyciła, jak się jej przyglądał i usiłował niejako wyczytać coś z jej twarzy i spytać „dlaczego?“

Ale cóż mogły ją obchodzić te trzy spojrzenia w chaosie zdwojonej admiracyi? w tej atmosferze salonów, w których dopiero teraz widziała się prawdziwie u siebie i na posadzce nie mającej się załamać.

Starzy i młodzi, matrony i panowie, otaczali ją i w ukłonach mówili wyraźnie:

— Nie zapominajże o nas, gdy otworzysz niewidziane jeszcze apartamenta pałacu Appelsteinów dla bali i obiadów.

A na ulicy, w sklepach, natrętnie się kłaniały przeróżne, znane i nieznane, raz spotkane fizyognomie wyraźnie prosząc:

— Nie zapominajże o nas, gdy zamieszkasz ponad oknami, w których się od świtu do nocy migotają postacie kantorowiczów, rachujących złoto firmy „Appelstein i syn.“

Irena to odczuwała, ale zastanawiać się nad tem

nie miała czasu. Owszem, spodobało jej się to, o ile je miarkowała. Była dla niej niespodzianką, ta strona medalu.

Jak to ją drogo kosztowało, czy kosztowało, nie miała czasu myśleć. Robiono wyprawę, przymierzano suknie, modele paryskie, z któremi narzucały się na wyścigi różne firmy, przedstawiano jej rysunki mebli, wzory gobelinów i adamaszków, któremi urządzenie pałacu kompletował Bernard. Nie było czasu na przerzucenie listów nadchodzących pocztą, nie było czasu na przeliczenie szmaragdów w bransoletach, na odpoczynek w tym pokoju, w którym marzyła o Korońskim.

To Bywalski wpadał by ją zapytać, czem chce mieć wybite ekwipaże; to Bernard pisał, prosząc by o tej a tej godzinie wyjrzała oknem, by dać swoją decyzyę co do pary koni ze stada Branickiego, które mu sam Branicki polecał. A Irena lubiła i powozy i konie.

To Edward wpadał, by się z nią podzielić ostatnią rozmowę z panną Kinińską i powtórzyć dwuznacznik Kinińskiego, patrzącego nań codzień łaskawszem okiem. A ona tak kochała Edwarda i takby pragnęła, by on się żenił z hrabianką, skoro ona już szła za Appelsteina.

To hrabina Paryzka prosiła na raut i pisała „*il ny a pas de fete sans vous*,“ to Lewicze namawiali na spacer, a ona tak lubiła świat i tak pragnęła zapewnić sobie światową pozycyę, aby choć nią wynagro-

dzić Bernarda, skoro go niczem więcej wynagrodzić nie mogła.

Ale ona o tem wszystkiem czasu myśleć nie miała. Robiła co chciano, co innym przyjemność sprawiało, jak to kółko w transmisyi, szalonej i puszczonej w ruch maszyny.

Żyła tylko zmysłami, a że to życie leżało w jej naturze, więc robiła wrażenie szczęśliwej i była wesołą i swobodną.

Niebawem miała zostać panią Appelstein. To ją chwilami przerażało. Ale ją przecież wprzódy także przerażało, że miała zostać narzeczoną Bernarda. A to przecież tak łatwo przyszło, tak piorunem mijało.

Jeśliby dalej tak poszło. Jeśliby i dalej tak życie płynęło...

Czegóż się bać mogła? Zresztą, czyż zastanawiać się czas miała, ona, Irena, smukła i czuła jak sarna, pełna wrażliwości której nie usuwały migotliwe wrażenia dnia, wtedy nawet, gdy zmęczone ciało domagało się gwałtem spoczynku. Czasem tylko zadawała sobie pytanie, czy to życie jest właściwie życiem?

Jakiś głos tajemny wołał—nie!

Ale Irena mu prawie nie wierzyła, bo przecież za tem, za takiem życiem dokoła niej goniły tłumy *high lifu*, dlań poświęciła młodość, dnie i lata, zdolności i uczucia.

A więc to miało być właściwem życiem, tem życiem, którego wczoraj zazdrościła, a któremu dziś nie dowierzała.

Jakiś głos tajemny, jakiejś głęboko wniej tkwiącej istoty, wołał: nie!

Ale Irena zmęczona, czyż mogła zagłębiać się w badaniu swych wątpliwości? Usypiała i często bardzo w tej epoce łaknęła wśród nocy zmysłami, słońca miasto światła kinkietów, świergotu ptaków miasto orkiestry, zroszonego zielonego trawnika, miasto dywanów, które paliły jej delikatne stopy.

Mięszało się w główce tej słabej istoty.

. . . .

XIII.

Pałac Bernarda Appelsteina w owej epoce, to jest w cztery lata po ślubie jego z panną Starża, wyglądał raczej na jakiś gmach publiczny, niż na prywatną rezydencyę. Olbrzym ten dwupiętrowy, wzniesiony z ciosu przez pana Salomona, powiększony został świeżo dwoma pawilonami i liczył się do największych budowli miasta. Jeśli nie zachwycał swemi ciężkiemi, w stylu francuzkim przeprowadzonemi częściami, to imponował tą odrębną powagą gmachów, w których ścianach utopiono krocie—przygniatał całą ulicę, zwracał uwagę swym monumentalnym pokrojem.

Z olbrzymiej sieni, w której trzy ekwipaże minąć się mogły, prowadziły dwie klatki schodowe, jedna tylko na pierwsze piętro, wtóra na drugie. Pierwsze

piętro, mające czterdzieści okien samego frontu od ulicy, mieściło tylko salony i apartamenta państwa Bernardów Appelstein. Na drugiem był urządzony formalny hotel, nieustępujący długością swego korytarza, hotelowi Europejskiemu. To piętro zawierało mieszkania gości, bo Bernard na wielką skalę pojmował życie— i w jego pałacu mieli poprostu swoje apartamenta Edwardowie Starżowie i Jesiołowscy. I pani Starża miała tu trzy komnaty, w których jednakże nigdy jeszcze nie zamieszkała. Mieli tam swoje pokoje gościnne stale niektórzy sąsiedzi Zabuża, przyjaciele Ireny, przyjaciele Bernarda, jak książę Oleśnicki lub hrabia Mikołaj. Ktoby ich wszystkich wyliczył! Był to hotel pałacu Appelstein, komunikujący tylko z pierwszem piętrem i ulicą i zawierający pokoje służby. Parter tego gmachu zajmowały kantory, kasy, kancelarye, biura, różne ubikacye tej finansowej instytucyi, której czeki natychmiast wypłacali Rotszyldy w Londynie, Wiedniu i Paryżu, a Bleichröder w Berlinie.

Prócz tego znajdowały się oficyny: w nich stajnie na 20 koni, wozownia na 20 powozów, mieszkania podręcznych urzędników, emerytów, lokale i składy. A prócz tego wszystkiego jeszcze w tych oficynach miał swój apartament Jakób Appelstein, prowadzący dom oddzielnie—dotąd kawaler, właściwa dusza banku, która pilnując interesów brata, pilnowała i swoich, bo firmę obu pan Salomon przekazał, zostawiając jednakże trzy czwarte majątku Bernardowi. Nie spierali się bracia o tę różnicę działów, bo byli tak bogaci

przy spisie inwentarza, iż uważali ten majątek raczej za fundacyę, niż prywatną własność.

Takim był pałac Appelsteinów, który Warszawa w owej epoce nazwała *„les Tuilleries de Mme Bernard.“* Bo *high life* warszawski, mający specyalny dar dawania ludziom przydomków, nazwał Irenę „Madame Bernard“ a pałac „Tuilleriami.“

Było bowiem pewne podobieństwo psychiczne między Ireną a cesarzową Eugenią. Było i pewne podobieństwo w ich pozycyach, w ich celach, w ich genezie. Świat warszawski to uchwycił swą wielką a złośliwą finezyą, a Appelsteiny niewidzący konieczności analogii w konsekwencyach, cieszyli się z tego miana dla swej rezydencyi.

Pałac Appelsteinów wyglądał poważniej niż kiedykolwiek dnia tego. Silny mróz nawiedził Warszawę i ten popielaty olbrzym pokryty białą chustą śniegu, migotający brylantami lodu i szronu ze swych zwierciadlanych szyb, panował niejako sam jeden na szerokiej ulicy.

O jedenastej godzinie kolosalny szwajcar otworzył wielką bramę, i z buławą w ręku zaczął się przechadzać po sieni. Był to znak, że pan Bernard Appelstein zaszedł do biura i zaczynał przyjmować specyalnych i poważniejszych interesentów. Był to znak, że właściwe życie, życie światowe, zaczynało się w gmachu. Lada chwila mógł zajechać ktoś, czy do pana, czy do kogo z gości. A właśnie rannym pociągiem przybyli państwo Jesiołowscy, by powinszować

Irenie, długo z upragnieniem oczekiwanego potomstwa, które w postaci córeczki wreszcie po czterech latach małżeństwa, przed kilku miesiącami powiększyło rodzinę Appelsteinów. Bawił w pałacu książę Oleśnicki, regulujący o tej porze zwykle przed wyjazdem na Rivierę, swe interesa z domem bankowym. Spodziewani byli Edwardowie i sama pani Starża, która przecież musiała przed śmiercią odwiedzić córkę, i której, jak sądzono w pałacu, śpieszno być powinno poznać wnuczkę. A nad to wszystko, był to pierwszy dzień tej zimy, w którym Irena otwierała na nowo swe słynne sobotnie przyjęcia dzienne.

Powrót swój z zagranicy opóźniła umyślnie, by nie pokazać się światu warszawskiemu w epoce dla piękności każdej kobiety bardzo niekorzystnej. W końcu roku powiła córkę, a w połowie lutego, jako rekonwalescentka i piękniejsza jeszcze niż wprzódy, pierwszy raz zaczęła wyjeżdżać z pałacu, by rzucić po całem mieście bilety:

Mme Bernard Appelstein

od 17-go b. m. przyjmuje w soboty.

Ten 17-ty będący w owej epoce hasłem światowem, bo za sobotami naturalnie musiały iść zwykłe, a co rok od poprzednich świetniejsze bale, rauty, teatra i obiady, kolacye i śniadania.

I szwajcar po kilkomiesięcznym wypoczynku, nie z humorem powracał do sobotnich zajęć. Było to bowiem zajęcie nielada. W dniu, w którym poprzedniej

zimy policya interweniowała i rozganiała stojące przed pałacem Appelsteinów ekwipaże, tak liczne iż wstrzymywały poprostu cyrkulacyę w mieście, Bernard wydał rozkaz, by podczas dziennych recepcyi Ireny, karety wjeżdżały w podwórze pałacowe, które odpowiednio powiększył dokupując sąsiednie place:

Przecież policya nie mogła przeszkodzić pani Appelstein w przyjmowaniu. Ale cóż policya była temu winna, że soboty u pani Bernardowej miały charakter na ulicy jakiegoś przyjęcia monarszego, jakiegoś otwarcia akademii w Paryżu, lub parlamentu w Londynie. Zakazała więc tego zbioru i odtąd szwajcar miał dyablą robotę. Po każdej sobocie chrypł na kilka dni, od nawoływań furmanów stojących w podwórzu; słabł od otwierania drzwiczek karet i kłaniania się swoją halabardą, podczas gdy dawniej ograniczał się tylko na przeprowadzeniu gości do bramy.

Spacerował w bramie uderzając swą laską i wzdychał. Nie wątpił że mu uszy w wieczór spuchną, jeśli nie od turkotu gumowych kół po asfalcie, to od uderzeń kopyt końskich, setek landar, wiktoryi, landolat, bronnów i t. p. wehikułów. Bo co żyło w Warszawie i liczyło się do wyższych sfer, nieopuszczało tych dziwnych recepcyi Ireny, pociągających wszystkiem czem tylko wyrafinowane przyjęcia pięknej i uroczej kobiety, lwicy salonów, milionowej i słynnej z uprzejmości damy, pociągnąć mogą.

Portyer miał zajęcie. Co chwila przed pałac zajeżdżała dorożka, remiza, a z wnętrza karet wyskaki-

wali tylko mężczyźni z portfelami, urzędnicy, bankierzy i bankierowicze. Ruch był wielki, każdy z trwogą przystawał przed szwajcarem i pytał:

— Pan prezes przyjmuje?

Bo (Bernard był prezesem „Wielkiej unii banków rosyjskich“) nie przyjmował codzień, tylko dwa razy tygodniowo, a czasami rzadziej, gdy był zajęty czem innem, lub znudzony—co często się trafiało.

— Przyjmuje—odpowiadał szwajcar półgębkiem i wskazywał parterowe podwoje. Bo on lekceważył tych gości samego pana Appelsteina, tych „tekowiczów,“ jak ich nazywał poufnie. On dopiero się wyprostowywał i poczuwał na odpowiedniem stanowisku, gdy zaczynały wychodzić z uherbowanych karet damy, księżne, hrabiny i t. p.

Tymczasem wyglądał, jak gdyby tylko dla ruchu, dla trawienia po śniadaniu, odbywał tę przechadzkę w pałacowej sieni.

Czasem w sień wielkim kłusem wjeżdżał ekwipaż. Wtedy podskakiwał. Był to bowiem zawsze albo jeden z pojazdów samego Appelsteina, oddanych na usługi gości pałacowych, albo też kareta kogoś z „wielkich“ odwiedzających poufnie Jesiołowskich, czy księcia Oleśnickiego, czy kogoś z mieszkających w tym hotelu wielkiego bankiera.

Ruch panował szalony, odpowiadający stylem stylowi budowli, mającej coś w swym wyglądzie z gmachu publicznej instytucyi, a nie z rezydencyi prywatnego nababa.

O w pół do pierwszej zatrzymała się dorożka i wyskoczył z niej Bywalski, nic w ciągu tych czterech lat nie zmieniony, świeży, wygolony i wyczesany, ale najwidoczniej zaaferowany.

Portyer podbiegł ku niemu. Wszakże to był dobry znajomy jego, codzienny gość pałacowy, mający wstęp o każdej godzinie—czy to do pana, czy do pani, niezbędny w każdym wypadku, po którego nieraz trzy razy na dzień pani posyłała. Zastanawiało go tylko, że o tej godzinie przybywał. Bywalski nie należał do personelu interesentów; wchodził w porze światowej, Bernarda nie odwiedzał w biurze, a Irena wstać miała dopiero za godzinę. Ona wstawała o pierwszej, na samo śniadanie.

— Pan do pana prezesa?—zapytał szwajcar.

— Nie, do pani — odparł Bywalski, puszczając się pośpiesznym i lekkim krokiem w klatkę schodową.

— Pani... śpi...

— Wiem.

Zajmując po dwa marmurowe schody naraz, biegł Bywalski na piętro, gdzie go już czekał lokaj w błękitnej liberyi, odznaczającej osobistą służbę pani „M-me Bernard,“ uprzedzony dzwonkiem elektrycznym przez portyera.

— Pani?

— Pani śpi—odparł prawie lekko oburzony sługa—wszakże dopiero w pół do pierwszej.

— Mój kochany—rzekł Bywalski, zrzucając futro ze swobodą domownika — postaraj się, by pani

dowiedziała się, że jestem i że pragnę z nią pomówić przed śniadaniem... Jest to pilny interes... Na śniadaniu goście?—urwał pytając.

— Pałacowi tylko.

— Książę?

— Będzie.

— A więc muszę panią widzieć przed śniadaniem. Możesz nawet na moją odpowiedzialność panią obudzić. Zaczekam w małym saloniku, w saloniku pani...

Lokaj odszedł zapewne spełnić rozkazy Bywalskiego, a jemu już otwierali podwoje apartamentów lokaje, nienawidzący tych gości przybywających w niewłaściwych porach.

Bywalski minął kilka sal i znalazł się w salonie zwanym „Louis XIV“. Chciał iść dalej, ale tu go zatrzymał marszałek dworu, wielki jego przyjaciel, pan Luccani, Włoch, którego Irena przywiozła z Rzymu.

— Proszę pana zaczekać tutaj.

— Dlaczegóż nie w saloniku, obok sypialni pani?

— Salonik jest teraz pokojem panienki.

— Panienki — szepnął Bywalski i rzucił się na stylowy fotel.

„Panienki“ — myślał — Jak to dobrze, że Irena będzie miała obowiązki, o których w sekrecie marzyła. Zaśmiał się, przypominając sobie, że przeszłej jesieni Bernardowie jeździli do Lourdes, by uprosić tę „panienkę.“ Gotowa Irena myśleć... ha, ha... Ale jak to dobrze. On się bał nieraz, by „M-me Bernard“ nie

zrobiła głupstwa. Wiecznie odurzona zabawą, łechtana, demoralizowana atmosferą warszawskiego *high lifu*, gdzie co druga kobieta miała kochanka, mogła łatwo upaść—ona, tak czuła, wrażliwa, nerwowa, a tak admiracyą ścigana. Bał się o nią, bo wtedy utraciłaby tę niebywałą pozycyę, jaką zajęła w świecie, pozycyę uczciwej i ujmującej lwicy. I onby stracił na tem, bo dziś był poprostu dumny z zażyłości z Ireną, imponującą światu swym sukcesem, czystym jak lustro. Coby świat dał, żeby pani Bernard poślizgnęła się noga, świat zazdroszczący jej wdzięków, niezrównanego *esprit de salon*, toalet, fortuny, a nie mogący jej zarzucić nic...

Ale teraz już nie było obawy. Irena była matką. Nic jej teraz nie brakowało, bo dotąd nieraz widział, że w szalonym wirze, w jakim żyła ta kobieta, miała sekundy w których łaknęła „kochać.“

A Bernarda nie kochała, choć o tem wiedział tylko on jeden, on jeden, co Irenę widywał w różnych momentach życia... choć o tem zapewne nie wiedział sam bankier.

Wyciągnął się na fotelu i rozejrzał.

On tu tak często bywał, a ile razy był, musiał uledz wrażeniu, jaki ten jedyny w swoim rodzaju apartament wywierał. To był jedyny może na świecie apartament wielkich finansów, w którym się zdawało człowiekowi, że był w wielkim świecie. Na czem to zasadzać się mogło, jeśli nie na guście Ireny. On sobie nie mógł uzmysłowić w tych salonach, że był u Appel-

steina, nie Radziwiłła. Cóż dziwnego, że i świat złożony z jednostek mniej od niego wyrafinowanych w dotknięciu, zapominał i cisnął się do królewskich nietylko bogactwem, ale gustem i powagą, apartamentów Ireny.

To była jej zasługa. Ona to kupiła te gdańskie szafy, ponure i ciemne, zmięszała je z temi złocistemi i purpurowemi fotelami, wiejącemi wielkim stylem Ludwika XIV. Ona to poprzegradzała na ścianach obrazy mistrzów, portretami Starżów, Piławickich i Bończów, które tak znakomicie zdobiły i taką cechę tradycyi apartamentowi nadawały.

Ona była genialną. Bywalskiemu formalnie się zdawało, że był w „błękitnym pałacu.“ Tu Starża Mikołaj, jakiś rycerz z wojny Karola XII odtworzony przez Matejkę, tu pani Leontyna. To wszystko działało na umysły. *On se sentait dans le vrai monde...* bezsprzecznie.

Tak rozmyślał Bywalski, czekając na Irenę, bo on sam który wszystko rozumiał, pozycyi Ireny w świecie warszawskim, jako pani Appelstein, prawie nie rozumiał. Czy świat był tak podły, że się cisnął do złota, szczęśliw z pretekstu, że nim szafowała Starżówna? Czy też Irena była tak genialną?

— Jedno i drugie razem! — westchnął i wstał.

Spojrzał na zegarek wskazujący trzy kwadranse na pierwszą. Do dyabła! może nie być czasu na załatwienie tak ważnego interesu. Zaczął chodzić. Oczy jego spoczęły na przedmiocie, którego tu jeszcze nie widział. Podszedł ku niemu, a był to gobelin nad-

zwyczajnej świeżości i wielkości, wiszący w trzecim salonie.

Znał się nieco na dziełach sztuki, bo jakże się znać nie mógł, oglądając wciąż jej rzadkie okazy u Kohnów, Kinsteinów, etc.

Oglądał gobelin, który musiał kosztować ze sto tysięcy franków. Co ci Appelsteinowie nie wydają? Fortuny rocznie. Że to wciąż wystarcza... bo przecież nie ma niewyczerpanego źródła!

— Wody! ha, ha! być może, ale złota...

Wciąż kupują — myślał — co tydzień coś nowego, a coś, co kosztuje... A to życie, te kosztowności, te toalety Ireny które pani Tytusowa obliczała na dwadzieścia tysięcy rocznie. A podróże? a ekwipaże? a bale? a Edward co kosztował? a ci o których on nie wiedział. Głupiał. To tak trwać nie mogło, to musiało się urwać. Ha! jeśli, jak mówiono, pan Salomon zostawił na samych bankach w Londynie...

Ale, opowiadał mu właśnie wczoraj Eustachy Bończa, że nie było nic zabawniejszego na świecie, jak mina Jakóba Appelsteina, gdy przy nim w klubie opowiadano o cudach egzystencyi Bernardów.

To trwało jeszcze, ale trwać wiecznie nie mogło. Mówiono o ciężkich czasach dla przemysłu, o stratach domu Appelstein w cukrze, a tu Bernard z roku na rok dubeltował normę życia.

Bernard był człowiekiem namiętnym... a ludzie namiętni, a bankier namiętny... Bernard był dzi-

wnym, zmieniał się, zmieniał się na niekorzyść. Miewał *des abscenses d'esprit...*

Kiedyś na obiedzie mówiono o polityce Napoleona, a on myślał, że mówią o skarbcu jego drogich kamieni... Parys, urzędnik kolejowy opowiadał mu, że tygodniowo przesyłek zagranicznych dla Bernardów przychodzi na jakąś bajońską sumę. Naprzykład ciastka i ptifury na recepcye Ireny, przychodziły wprost od Demla z Wiednia. Waryowali...

W tem się ocknął. Irena stanęła we drzwiach swej sypialni. Irena, jak obraz, w fałdach białego jedwabnego szlafroka, ubranego staroświecką srebrną litą koronką, robiła wrażenie portretu z czasów odrodzenia.

Bywalski podbiegł ku niej.

XIV.

Irena była piękniejszą, niż kiedykolwiek. Macierzyństwo przyozdabiające kobietę młodą zawsze nowym wdziękiem, okrasiło i ją tem czemś nieokreślonem, co dopiero uzupełnia niewiastę. Uroda jej zyskała na silniejszem zmatowaniu cery, oczy zyskały na głębokości, którą dają tylko cierpienia moralne, czy fizyczne. A spojrzenie czarujące stało się jeszcze

więcej pewnem, śmiałem, o wartości swej świadomem i zeń dumnem. Postawa nie straciła nic na wyniosłości, figura pozostała wiotką i elastyczną, zyskując okrągłości sformowanej kobiety.

Była prawie piękniejszą, a nie straciła niemal nic z czaru i uroku, tego prześwietnego skarbu wiosny życia.

Dziwnie to była arystokratyczna postać, zdradzająca wyrafinowanie kształtów i nerwów, które tylko pokolenia idące w pewnym szlachetnym kierunku, swym spadkobiercom dają. Miała po kim dziedziczyć. Starżów drzewo genealogiczne było jednem z najpiękniejszych i najczystszych, jak to się dziś jeszcze trafia tylko w szlacheckich, nie pnących się do *high lifu* rodzinach. Nie było w nim ani jednej parweniuszki, ani odrobiny krwi choćby magnackiej, ale świeżej i niezbadanego pochodzenia. Były tylko nazwiska znane z Paprockiego.

Starżowie byli dumni z tego drzewa, i mieli słuszność może, bo pień taki tylko mógł wydać Irenę.

Słynna pani Leontyna Starżowa wydawała córkę za Przemyskiego, ale nie potomka linii Przemyskich, której ostatni członek żył. Zdarzyło się, iż w chwili gdy była z wizytą u epokowej matrony, pani Klaudyi Pilawskiej, spokrewnionej z Przemyskiemi, zaangażowano jej przyszłego zięcia.

— Przemyski! Przemyski! -- zapytała matrona,

przywykła do tego, że jedynym na świecie mógł być tylko jej krewniak—*que c'est que ca?*

— Przemyski!—podchwyciła pani Leontyna.

Irena była istnym portretem, mówiono, owej pani Leontyny, tylko nie miała jej ciętości, jej wykształcenia i rozumu. A może je miała, tylko była zadobrą by z nich korzystać. Bo dobroć tryskała niepojętą siłą z jej oblicza. Gdy była w Rzymie, musiała pozować jakiemuś znakomitemu malarzowi do *Madonny*, bo tego typu jaki ona przedstawiała, całe życie on próżno szukał. A Irena była naturalnie zadobrą, by mu tej przysługi odmówić. *Madonna*, która stąd powstała, zyskała wielki medal złoty, a kopia jej wisiała w gabinecie Bernarda.

— Kochany pan!—zawołała, ale w jednej chwili straciła uśmiech i zakłopotała się. Znała minę Bywalskiego i spostrzegła, że interes w którym do niej przychodził, miał nie być dla niej miłym. A ona tak nie znosiła prozy życia, cóż dopiero jego interesów, ona, stąpająca po różach smyrneńskich dywanów i hebanowych posadzkach, a oddychająca atmosferą wiejącą w pałacu Appelsteina i salonach *high lifu*, podczas jego wielkich występów.

— Droga pani—odparł Bywalski.—Budzę cię nie w wesołym kolorze. Przychodzę z interesem pilnym...

— Edward! — zawołała Irena, drgająca już jak sarna, gdy usłyszy podejrzany, a znany jej łomot w zaroślach.

— Edward!—powtórzył Bywalski.

Usiedli oboje jednocześnie na wielkich fotelach tego salonu.

— Edward—ciągnął Bywalski—jest znów w kłopocie. Bo po co mu było kupować te bankowe dobra? po co pakować się w takie dyabelstwa? Ha! Chciał koniecznie być wielkim panem...

— O cóż chodzi?—zapytała drżącym głosem.

— O co chodzi? O to, o co zawsze. Termina po terminach... Jeśli do jutra nie dostanie dwudziestu pięciu tysięcy rubli, zlicytują mu te przeklęte dobra bankowe.

— Zakluczyn?

— Zakluczyn!

Irena ściągnęła brwi, a w tym jednym skurczu tkwiło tyle bólu, skombinowanego z różnych cierpień, że się aż żal jej Bywalskiemu zrobiło. To też ciągnął by skrócić:

— Telegrafował do mnie. Błaga, bym mu nową pożyczkę u pani wyrobił. Do jutra... Dziś mam mu odpowiedzieć...

— U mnie... ha, ha!

Nastało długie milczenie. Bywalski czekał, zdetonowany tem cierpieniem kobiety, która coraz więcej do serca brała częste potrzeby Edwarda.

— Ha!—nagle szepnęła.—Zlituj się pan nademną. Ja już sił nie mam...

— Czy pani sądzisz, że Bernard by odmówił?

Machnęła ręką.

— Nie to. Ale właśnie dlatego przechodzi to me siły, że wiem, iżby nie odmówił...

Bywalski milczał. Irena zaczęła:

— Gdybyś mnie mógł, drogi panie Bywalski, od tego uwolnić... Ja nie potrafię, nie potrafię! Gdy Edward ostatni raz brał trzydzieści tysięcy, ja to odchorowałam... ba! Jakób mi robił miny. Znosić miny Jakóba!...

Łzy stanęły w jej oczach.

— Co ten Edward mi przecierpieć każe! Gdybym była przypuszczała, że wpadnę w tę potworną rolę... Jakież ja prawo mam do żądania wciąż fortun dla mej rodziny? Oni mnie uważają...

Urwała i pogładziwszy twarz dłońmi rzekła:

— Ja nie potrafię. Pomów pan z Bernardem. Edward Zakluczyna stracić nie może. To dług?

— Ostatnia rata kupna.

— Co to kupno mnie kosztuje... Rumieńce! jakie rumieńce? miny Jakóba... własnej ambicyi cierpienia...

Otrząsnęła się.

— Pomów pan z Bernardem... To okropne! Wiem że bardzo dużo wydał. Wiem, że ostatniego conta banku Rotszyldów nie mógł wypłacić w ciągu przyjętego terminu' Jakób mnie uważa... za przyczynę. A ja? Czyż pan myślisz, że ja tak dbam o życie? o te zbytki?... Pomów pan z Bernardem... Edward stracić nie może... Ale ja już nie potrafię. Im Bernard szlachetniejszy, tem ja w przykrzejszem położeniu...

Cierpiała strasznie subtelnem, może jej tylko dostępnem cierpieniem — ale cierpiała. Widocznem to było z jej rysów, z każdej ich fibry.

Nagle ocknęła się.

— Gdybym mogła sprzedać, zastawić jakie kosztowności... Mam ich tyle...

— Ależ pani.

— Ah! wolałabym, ale co powiem Bernardowi, gdy zażąda bym to albo owo włożyła, a tu tego nie będzie...—mówiła dziecinnym niemal głosem.—Sprzedać? Przecież to nie moje... A ja prosić Bernarda już nie potrafię.

Cierpiała tak, że Bywalski, któremu się w głowie mięszało, który delikatności tego stopnia prawie nie rozumiał, klął w duszy Edwarda.

— Szelma łotr!—szeptał do siebie.

Irena znów się obudziła.

— Czy pan wiesz, to Marya każe mu tak wyzyskiwać Appelsteinów! To Konińskich podszepty. Edward by mnie oszczędzał. On przecież wie, co ja... To nieszczęśliwe było małżeństwo...

Zmięszała się, jakby za dużo powiedziała i zapytała z przestrachem:

— Czy panu trudno też pomówić z Bernardem?

— Bynajmniej. Ale wprzód musiałem być przez panią do tego upoważniony. Edward mi deponuje: „Udaj się do Ireny.“

— Ireny! Ireny!—zaśmiała się kobieta.

Nagle jej z natężeniem pracujący mózg, coś sobie przypomniał.

— A! powiedz pan Bernardowi. On sobie życzy, bym wiosnę spędziła z dzieckiem na Rivierze... to będzie tyle pewnie kosztować, ile potrzeba Edwardowi. Pan wiesz, jak dużo wydajemy... Ja chętnie pozostanę, nie pojadę, choćby to może małej Leosi bardzo dobrze zrobiło... Ale ja bardzo chętnie zostanę...

— Pani Ireno! Przestańże już o tem myśleć. Ja to załatwię...

— Załatwisz?—rzekła z dziecinną radością.

— I nie będziesz wiedzieć nawet.

— A mina Jakóba?—zapytała z przestrachem.

Wtem Luccani stanął we drzwiach i zawołał z włoska:

— *Madame est servie. Le monde est dans le salon bleu.*

Irena się zerwała.

— Chodźmy! czekają! Bernard się będzie gniewał...

— O co?

— Ah! On tak obserwuje formy. Pan zostajesz na śniadaniu! Siądziesz przy mnie...

— A książę?

— Ah! prawda.

Mówili to mijając sale i prowadzące do niebieskiego, dotykającego jadalni salonu, gdzie się gromadzili pałacowi goście.

— Co to znaczy, że mama nie przyjeżdża? — py-

tała jeszcze—Bernardowi to bardzo przykro. Ja mamy nie rozumiem. A Edward nie był, odkąd wróciłam z za granicy.

Byli już u drzwi niebieskiego salonu, gdzie panował śmiech i gwar.

Weszli.

Książę pierwszy podbiegł do Ireny, wołając:

— Otóż i *la reine!*

— *La reine?*

— *Irene-reine!*—odparł podając jej ramię.

Irena po drodze się witała i po drodze podała Bernardowi czoło do pocałowania, nie słysząc madrygałów księcia, który jej prawił, że odtąd Warszawa nie będzie jej nazywać „*Mme Bernard*“ tylko „*La rene Bernard.*“

Wszakże to tak łatwo. *La* a *i* to jedno w żargonie światowym, kładącym nacisk na *r*... A zresztą on tak sobie życzył, i obowiązywał się to wprowadzić w modę.

Irena się uśmiechała. Ją świat bawił i odurzał.

XV.

W godzinę po śniadaniu, Bernard Appelstein i Bywalski znajdowali się w męzkim gabinecie, urządzonym z największym zbytkiem i komfortem, oddani dyskusyi pełnej werwy.

Bywalski siedział zagłębiony w fotelu, pokrytym gobelinem koloru tabaczkowego, z monoklem w oku i przyglądał się portretowi Ireny naturalnej wielkości, pędzla Cabanela. Bankier chodził po komnacie i właściwie sam mówił.

Appelstein uległ zmianie niepomiernej, jakiej wielu mężczyzn w epoce między trzydziestką a czterdziestką ulega. A ulegają jej wszyscy, najprzystojniejsi i ci, co byli pięknymi chłopcami; opór jej stawiają tylko ludzie wybitnych regularnych rysów i dużej inteligencyi.

Utył, rysunek twarzy prawie się już rozlał, oczy straciły ten jedyny urok mężczyzny, tę że tak powiem, kwietniową świeżość życia i naiwność. Zmęczenie malowało się w obwisłych rysach, pozbawionych jędrności, wytężenie pracy mózgu w pewnym kierunku, przedzieliło mu czoło pionowo dwiema wydatnemi bruzdami, a zmarszczki rysowały się już licznie i gęsto, na sybarytyzmem może i nadużywaniem rozkoszy, zmęczonej cerze oblicza.

— Wierzaj mi, że jestem w trudnej i przykrej pozycyi... Tylko firma dziś może wypłacić trzydzieści tysięcy rubli, a firma to ja i mój brat: ja który wydaję od sześciu lat rocznie trzykroć sto tysięcy i Jakób, wydający dziesięć. Zapewne, że *le compt fait* nie krzywdząc udziału brata, ale tymczasem wycofuję na swoje osobiste cele z banku gotówkę, przeznaczoną na potrzeby firmy. Ztąd płyną poważne ro-

czne straty, które obniżają dochody firmy i Jakóba. Rozumiesz delikatną pozycyę?

— Rozumiem, ale trzydzieści tysięcy, to dla was głupstwo.

— Zapewne. Chociaż, chociaż...—tu zerknął na Bywalskiego, przystanął i ciągnął.—Czy ty wiesz, że Edward Starża podniósł od a... no od... dwakroć sto tysięcy rubli, a te trzydzieści, to będzie dwakroć sto i trzydzieści?

Bywalski zrobił osłupiałą minę.

— Sta i trzydzieści tysięcy, to suma *ça compte, mon ami.* Jesiołowski wziął pięćdziesiąt.

— Pożyczył.

— No, pożyczył. Ale takie pożyczki *ça n'arrange pas Jacob*, który właściwie prowadzi interes. A gdybym ci przedstawił conta, których sam dokładnie nie znam, Adama, Eustachego, Pawła Starżów, którym mi Edward kazał otworzyć kredyta... Nie przeglądam rachunków, nie pytam się o to, bo się boję...

A czy ty wiesz, co to taki jak nasz, interes? Rok temu Rotszyld z Paryża telegraficznie polecił wypłacić Kohnowi pięćkroć sto tysięcy rubli. W kasie ich nie było. Mój ojciec, gdyby o tem wiedział, w grobie by się przewrócił. Godzina zwłoki kompromitowała dom. Firma więc posłała weksli na milion, które poręczyła i chciała je zastawić w Banku Państwa. Bank Państwa odrzucił weksle Starżów... Jakób odchorował ten wypadek. To nas wtedy grubo kosztowało. Odtąd banki warszawskie patrzą na podpisy weksli,

które firma Appelstein żyruje. Czy ty rozumiesz to, taki policzek?

Przestraszył się nagle, widząc zainteresowanie Bywalskiego.

— Ależ Bywalski!—zawołał—ja do ciebie mówię, jak do przyjaciela *si ça permit*...

— Bernardzie!—szepnął z ruchem ramion.

Bankier dalej chodził i po chwili zaczął, bo potrzebował się wygadać przed kimś na świecie, a nikogo nie miał. Przecież tegoby nie opowiadał Irenie.

— Jakób jest moim młodszym bratem, w dziale pokrzywdzonym, przywykłym uważać mnie za rozsądną głowę domu, bo tak ojciec mnie postawił. Jakób dziś nie śmiałby uczynić mi nawet uwagi, ale czyż ja mogę, po tem co ci opowiedziałem, po tem co wiesz zresztą, kazać mu znów wypłacić Edwardowi?

Zakłopotał się, ściągnął brwi i mówił:

— Gdybym miał osobiste fundusze... ale ja już osobiście czerpię z firmy... Nie jestem zrujnowany, alebym nie chciał narazić się na pytanie nieme Jakóba: „Dokądże idziesz?“ Szczególnie dzisiaj, gdy w cukrze uwięziliśmy bezprocentowo kilkanaście milionów, gdy miesięcznie dokładamy do kuponów zastawniczych akcyi...

Machnął ręką i urwał.

— Ha, ha, ha!—zaśpiewał desperacko Bywalski —ha, ha, ha! Niech pokutuje głupi. Niech mu sprzedadzą ten Zakluczyn.

Appelstein się zerwał z największem oburzeniem:

— Nie, nie! Ty nie rozumiesz mnie. Sprzedać Zakluczyn? Licytacya majątku szwagra Appelsteina? Nie, nie! A Irena? Irena? Irena?... Nie zrozumiałeś mnie...

Zaczął milcząc, gorączkowo obiegać wzdłuż olbrzymiej komnaty, zaciekawiając Bywalskiego, który rzeczywiście nie rozumiał i już poświęcał Edwarda i Zakluczyn.

— Irena! — zawołał w tym spacerze i umilkł.—

Przystanął i cedził:

— Telegrafuj po Edwarda. Niech wystawi weksel. Niech ten weksel antidatuje, niech go wystawi na imię któregokolwiek bankiera warszawskiego. Ten bankier niech go przedstawi do dysconta w naszej firmie. Czy rozumiesz tę manipulacyę? Wtedy Jakób nie zasięgając mego zdania, będzie musiał eskontować weksle, nie mogąc odmówić... A ja uniknę impulsu. Ja nie mogę firmie przedstawiać już nowego wekslu Edwarda. Ja mogę tylko być zmuszonym do jego wypłaty. *Cette manière la* zapewne będzie mniej miłą Edwardowi, ale... ale...

— Mój drogi—obruszył się Bywalski.—Jeszcze się kłopoczesz, by mu być miłym.

— Irena!—odparł bankier.

— Ależ wiedzieć o niczem nie będzie.

— A jeśli Edward się poskarży?

Bywalski nic nie odpowiedział. Jemu się już od pewnego czasu zdawało, od ostatniego powrotu Appelsteinów z zagranicy, że Bernard słabł na umyśle. To

wyłączne zajęcie się Ireną, to odnoszenie wszystkiego do niej, czego rozmiary teraz dopiero widział, nie mogło dobrze wpływać na trzeźwość bankiera, ani też nie mogło wypływać z jasnej i zdrowej głowy.

Bernard odetchnął. Zmęczyła go ta kombinacya. On się czuł coraz mniej, co dzień mniej, co godzina mniej zdolnym do umysłowej pracy finansowej, którą zaczynał poprostu nienawidzieć. Byle co go wysilało i sprawiało mózgowi jego ból przymusowy. On już połowy kombinacyi Jakóba, które mu ten z właściwą sobie jędrnością przedstawiał, nie pojmował. On już dla firmy, przymuszając się, zachodził do kantoru i przyjmował interesentów, wysłuchiwał raportów i sprawozdań, myśląc o czem innem: o toalecie Ireny na najbliższym balu, o kombinacyi kamieni w naszyjniku, które komponował, o umeblowaniu Pienian, o którem marzył.

I sam uczuł to osłabienie umysłowe i gdy go ogarniały ztąd trwogi czy obawy, uspakajał się szepcząc:

— Alboż ja bankierem być muszę? Jakób!

I Jakób, ten lekceważony Jakób, stawał się w wyobraźni jego, sam przez się, coraz ważniejszą figurą, z którą się codzień poważniej liczył.

Odetchnął jak po wysiłku, niemal spocony, uspokoił się i usiadł naprzeciw Bywalskiego, obserwując go z taką miną, iż tenże zapytał:

— Jeszcze masz coś do mnie.

— Mam!—odparł nieśmiało Appelstein.

— Słucham.

— Nie mówże Irenie, że robiłem *des façons*, to jedno.

Bywalski skinął głową.

— A drugie?—zapytał.

— Drugie...— westchnął i zażenowany podchwycił: — chciałbym z tobą pomówić o czemś, co może...— jąkał się nad wszelki wyraz.

— Mów!

— Czy ci się nic w świecie nie obiło o uszy o Irenie?

— O Irenie?—powtórzył zdziwiony Bywalski.— Nie rozumiem cię. Obija mi się wciąż o uszy, że jest piękną, że robi bajeczne toalety, że niema równej jej damy uprzejmością, taktem i *savoir-vivre*, że...

— Ależ nie to.

— Cóż więc u licha?

— Mnie się zdaje, że Irena zajęta jest...

— Kim? ha, ha, ha!

— Korońskim!

— Ha, ha, ha! ha, ha, ha!

— Nie miarkujesz tego. To ci się nie obiło o uszy? — zapytał bankier poważnie, hilaryzmem Bywały bynajmniej nie rozweselony.

— Nie—odparł—nic mi się takiego nie obiło. Bo takie *barocco* powstać tylko może w głowie zazdrosnego ze zbytku szczęścia męża. Twoja żona zajęta Korońskim?... ha, ha, ha! Ależ on ją bawi tylko tem, iż jego żona wszystko robi, by mieć pozycyę w świecie,

podobną do jej pozycyi, a niema jej, choć się nazywa Korońską, choć ma za *bellemerę* jego matkę, a jego za męża. To bawi Irenę.

— Appelstein słuchał zakrywając dłońmi oczy, a gdy Bywalski skończył, zaraz podchwycił:

— A książę?

— Co książę?

— Książę, czy się nie kocha w Irenie?

— A! tego nie wiem.

— A Irena wygląda zajęta księciem...

— Irena zajęta księciem?

— Nie znajdujesz? W świecie o tem nic nie mówią?

— Ha, ha, ha! — zaczął się tym razem jeszcze głośniej śmiać Bywalski.—Jesteś Bernardzie paradny. Koroński! książę! masz aż dwóch. Prawdziwie *de richesses d'embarras*. Nie mówmy o takich głupstwach— tu wstał i kładąc rękę na ramieniu bankiera, tonem sentencyonalnym mówił: — Wiedzże o tem, że twoja żona pochodzi ze Starżów, a u Starżów nie było adulteryi. Pamiętajże o tem, że Irena pochodzi ze szlachty, z dobrej szlachty polskiej, która jedynie w Europie do dziś dnia przechowała tradycyę przysłowia *noblesse oblige*, obowiązującego kobiety. Kobieta z tego gniazda co Irena, może nie kochać męża, ale nie może kochać innego. To im się w głowach nie mieści, naszym dobrym polskim szlachciankom... A teraz *ça fera bien dans le paysage*, pokaż się w salonach twej żony. Musi tam panować zgiełk... Po czwartej... Spojrzno

w podwórze. Gdyby nie przyjęcie twej żony, niemielibyśmy wyobrażenia, co to jest Warszawa. Jakiż w niej olbrzymi ten świat elegancki, trzymający ekwipaże i biorący udział w recepcyach dziennych pani Bernardowej!

Spojrzeli w okno. Po obliczu Appelsteina przebiegł nieuchwytny wyraz zadowolnienia, a Bywalski ciągnął idąc ku drzwiom:

— Trzydzieści lat bywam w Warszawie. Pamiętam recepcye pod karyatydami; w błękitnym, jeszcze za życia wielkiej ordynatowej; pamiętam pozycyę pani Augustowej, gdy była piękną, pani Maurycowej, gdy była śliczną. Pamiętam ordynacyę Krasińskich, gdy ją reprezentowała pani Alfredowa. Pamiętam od lat trzydziestu wszystko, ale nie widziałem tej pozycyi, jaką ma twoja żona. *C'est étonant* — dodał z naciskiem.

— Irena...—szepnął bankier z dykcyą, w której mieściło się wszystko, co to imię dlań reprezentowało.

XVI.

Niepojęty gwar panował w salonach pani Bernardowej Appelstein.

Five o'clock właśnie wchodziły wtedy w modę i jak każda rzecz nowa, cieszyły się niezmiernem po-

wodzeniem w tym świecie, chwytającym z pośpiechem i chciwością dziecka, każdą sposobność gadania i pokazania się.

Irena właściwie wprowadzała w modę te *five o'clock*. Ona im nadała cechę odpowiednią, zgromadzając nieprzebrane tłumy siłą swej uprzejmości, jednającej jej wszystkie sfery, otwierając ogromne swe salony, ułatwiające schadzki i *aparte*. Podawana herbata w wyszukanych gatunkach: chińska, angielska, żółta, wyszukane ciasta z Wiednia, konfitury z Kijowa, cukierki z Paryża, czekoladki z Rzymu, owoce z Palermo, były nawet i dla tego zawsze nasyconego delikatesami towarzystwa, ogromnem *great attraction*.

Wszystkie światy się tu spotkały. Znakomitości literackie i artystyczne, członkowie wybitni mieszczaństwa, doktorzy, głośni adwokaci, przemysłowcy, mięszali się tu jedynie z *high lifem*, wysokimi urzędnikami, wojskowymi i konsulami, będącymi urzędową ozdobą salonów finansów warszawskich.

Ta indywidualność salonu pani Ireny, była także jednym z bodźców powodzenia tych niewidzianych dotąd w Warszawie przyjęć.

Tłumy napełniły cztery największe salony pałacu, a prócz tego i w innych komnatach zbierały się kółka i kółeczka ludzi, szukających się w tym zgiełku a nie szukających tegoż. Tu·pani Paryska sama bawiła ze swym kuzynem i kochankiem Paryskim, szukając u pani Appelstein schroniska dla swego roman-

su przed zazdrosnym mężem. Tam wielki książę Oleśnicki, w kącie na kanapce tłomaczył się ze swych niewierności przed panią Taidą, która po dziesięciu latach romansu zaczynała go nudzić.

Tu słynny adwokat Spasowicz wykładał coś głośnemu ze swych „Listów“ autorowi. Tam panna Ofelia probowała przytrzymać młodego bruneta, który podobno się jej wymykał.

Tu znów pani Anastazowa puszczała wraz ze Skorupskim ostatnie *bon mot*, które jutro miało obiegać salony—a tam Kohn, który wpadł na chwilkę, wielki Kohn u zenitu powodzenia, teść hrabiego Korońskiego, probował zyskać hrabiego Mikołaja na akcyonaryusza wielkiego przedsiębierstwa, mającego podreperować firmę zachwianą przez hrabiego zięcia.

Tu się obrabiały wielkie i małe interesa tego świata, zarówno oddanego rzeczom poważnym, jak i największym małostkom.

Służba liczna jak u jakiego dworu, w pończochach i jasnych niebieskich frakach, uwijała się w tym chaosie wchodzących i wychodzących, trwożna, gorączkowa, bo Irena niczego tak nie przestrzegała u niej, jak wyrafinowanej kurtuazyi w odgadywaniu niemal życzeń gości.

I w tym tłumie poruszająca się Irena, nie znikała ani na jedną chwilę. Czy siedziała, czy stała, mówiąc czy słuchając, zawsze była w swym cudownym, a skromnym białym stroju, jakby zjawiskiem pełnem wdzięku, piękna i dystynkcyi.

Była rzeczywiście królewną w tem zbiegowisku. Odbijała od wszystkich, jakby figura namalowana przez mistrza, na obrazie o wiele mniejszej wartości pędzla, jakby ona jedna była tylko piękną, uroczą i odznaczającą się wszystkiem, czem kobieta w salonie odznaczać się może.

A przecież było ich tyle.

Chodziła, witała się, uśmiechała z tą pewnością siebie, osoby lubiącej świat; z tą swobodą poczucia swej w nim wartości; z tą uprzejmością, tkwiącą we wszystkiem co robiła — z tą niezrównaną kobiecością rozlaną w jej wyniosłej postawie, w jej okrągłych ruchach, w elegancyi całej jej figury.

— Pani!—zatrzymał ją Koroński, czekający już od dawna sposobności zbliżenia się do niej. — Jesteś dzisiaj... *vous vous surpassez...* A ja kocham cię dzisiaj...

— Panie Karolu, czyż można mówić takie głupstwa? Gdyby pana kto słyszał... Pana, tak rozumnego, który ma taką żonę i taką, którą sobie wybrał z pośród wielu, wielu...

— Pani Ireno! Ten sposób dręczenia mnie...

— Czyż jabym potrafiła kogo dręczyć?

— Mnie jednego.

— Zdaje się panu.

— To niebranie moich słów na seryo...

— Któżby je brał inaczej z tych, którzy znają pańską żonę, którzy wiedzą żeś ją wybrał, mogąc wybierać.

— Może nie mogłem — szepnął prawie rozpaczliwie.

Ale Irena już zagadywała autora „Listów.“

— Jak pan masz odwagę dziś mi się pokazywać, wyrządziwszy mi taką krzywdę?

— Krzywdę? Ja?

— Całą noc nie spałam. „Janko malarz“ jest porywającem arcydziełem. Przynajmniej pan masz dużo taktu. Gdy się takie rzeczy pisze, pisze się je krótkie. Gdyby „Janko“ był nieco dłuższy, nie byłabym wcale dziś spała. Jakbym ja chciała z panem pomówić swobodnie, *à deux*...—mówiła uśmiechając się.

Autor się kłaniał.

— Gdyby pan był dobry, grzeczny, toby mi pan wielką wyświadczył łaskę...

Autor „Listów“ się zmięszał. Myślał, że chodzi o wiersze do albumu w najlepszym razie.

— Ależ służę pani...

— Czyż naprawdę?—zawołała z radością.—Otóż przyjm pan u nas obiad... zaproszę jak najmniej osób... prawie nikogo. Ot jutro, dobrze?

Autor „Listów“ kłaniał się zdumiony. Prosiła na obiad, jak o łaskę. Kto? Pani Appelstein, *M-me Bernard*, u której hrabia August gdy obiadował, wstępował do klubu i rozrzucał:

— Idę na obiad do pani Bernard.

Irena podziękowawszy, posunęła się dalej. Dotknęła ramienia przemysłowca, pana Kuleszy, rozmawiającego z panem Kohnem.

— A żona pańska, nie będzie dzisiaj?

— Moja żona? Ona tak mało zna osób. Świat warszawski nie jest dla niej *affable*...

— Cóż pan mówisz. *Elle est charmante*, pańska żona; zapewne tylko trochę nieśmiała. Poproś ją pan, by się oddała pod moją opiekę. Ja ją zlansuję...

— Ah, pani! Jesteś... Będzie uszczęśliwiona...

— Ha, ha, ha! To ja będę uszczęśliwiona. Pańska żona chwyciła mnie za serce. Marzę o zaprzyjaźnieniu się z nią.

Opuszczała ogłupiałego Kuleszę, który mimo wysiłków, nie mógł swej żonie wyrobić dotąd pozycyi, a marzył o niej.

— Ah, pan! Cóż za honor? Pan u mnie! Oczom bym nie wierzyła, gdybym nie widziała. Ale *les grands hommes ont besoin parfois des petites gens pour vivre* — powiedział świeżo Bourget.

— Chyba powiedział pani, *des belles femmes?*

Irena się uśmiechnęła i pozwoliwszy się w rękę pocałować wielkiemu adwokatowi, który lubił słyszeć że jest wielkim, szeptała na ucho pani Paryskiej, wyłaniającej się z za portyery gabineciku:

— Jesteś dzisiaj czarująca. Istny pastel. Ta toaleta! ah! *Vous etes ravissante.*

Nie słyszała odpowiedzi, bo ją witała pani Lewicz z córką, od pięciu lat na wydaniu, a Irena mówiła:

— Jakże pani dobra, nie zapominasz o mojej sobocie.

A do panny szeptała:

— Musiałam już dziś wysłuchać całą tyradę pochwał pani. Podobno na ostatnim balu byłaś czarującą. Jest tu ktoś, który...

Dokończyła znaczącą minką, przenosząc do siódmego nieba pannę Lewicz.

I tak dalej i dalej bez zmęczenia, z tem pobudzonem obliczem, jak balsam łagodziła rany panien, łechtała próżność mężczyzn, zostawiając za sobą szmer admiracyi, a nasuwając mądrzejszym, wyrafinowanym, jedno tylko pytanie. To pytanie wygłosił tuż na jej drodze przemądrzały Skorupski, podsłuchawszy jak chwaliła toaletę słynnej z jaskrawości pani Bajskiej. Obrócił się i zapytał:

— Czy ta pani Irena jest tak głupią, czy nas ma za głupich?

Pan Ostoja, choć do niego nie było skierowane zapytanie, podsłuchawszy je wtrącił:

— Nas ma za ludzi, a sama jest tak dobrą.

Skorupski coś poruszył, a Ostoja dodał:

— To chodzący przykład, ta cała madame Bernard, co może kobieta dobra.

— Zapewne, skoro i pana do siebie na *five o clock* zwerbowała—odparł złośliwy Skorupski.—Pana, który lat tyle nie przestąpiłeś progów finansów.

— Widocznie. Ale byłbym je dawno przestąpił, gdyby nasi synowie szukali w finansach takich kobiet, a nie posagów.

— *Vous vous tirez toujours d'affaire* — dorzucił

wesoło Skorupski, marzący o trzeciej Kohnównie w pieluchach, dla swego syna w szkołach.

A równocześnie pani Anastazowa przysiadała się do Bernarda.

— Powiedz mi pan—mówiła—co odczuwa mąż takiej kobiety, jak pańska żona. Co on sobie myśli, gdy ją widzi tak otoczoną, tak uwielbianą, tak?..

Appelstein spoważniał i zmarszczył brwi.

— Czyż tak jest rzeczywiście? *on est aimable pour elle.*

— Ha, ha! niema jak mężowie. Nic się od pana nie dowiem, a chciałam zaspokoić swoją ciekawość. Marzyłam zawsze o dowiedzeniu się, co sobie myśli mąż żony w której się tak kochają i ci i ci i ci.

— W mojej żonie się kochają?

— Czy pan tego nie widzisz?

— Doprawdy! Ja nie widzę.

— Ha, ha! Koroński odchodzi od zmysłów. Jeśli tak dalej pójdzie... Czyż pan tego nie widzisz? Uważajże pan, jak ją pochłania oczami. Jaki zabawny w swej minie Otella, zięć papy Kohna. *La pauvre petite* Kohn...

Appelstein przymrużył oczy.

— Zdaje się pani, Koroński... oni się tak dawno znają.

— *On en revient toujours à ses première amours.*

Appelstein pobladł i ściągnął brwi więcej, jakby usiłując nie pokazać oczu, a pani Anastazowa, jakby nic, szwargotała:

— A książę! książę! Nie widzisz pan, co się dzieje z Taidą, *il lui échappe...*

— Dlaczegożby, po tak długim romansie? Ja zawsze uważam księcia i panią Taidę za małżeństwo... małżeństwo z wyboru...

— Dotąd tak było, ale teraz...

— Teraz? Jestem tak z nim dobrze, nie spostrzegam żadnej w nim zmiany.

— *Vous ètes parfait.* Chciałbyś, aby panu powiedział, iż go już nudzi Taida, bo się szalenie kocha w pańskiej żonie.

Appelstein uchwycił się złoconej poręczy fotela.

— Czy pani to mówi, by mnie drażnić?

— Ktoby was potrafił nami podrażnić? Mój mąż, gdyby mu powiedziano że szaleję za kimś, nie byłby nawet ciekawy poznać tego kogoś... Wy mężowie... Zresztą ja nic nie widzę... *Tout Varsovie en parle...*

— O księciu i mojej żonie? — wybełkotał blady Bernard.

— Jesteś pan! ha, ha! Ależ pan, panie Appelstein jesteś zazdrosny, *fi donc!* To dawno wyszło z mody. Czyżbyś pan miał pretensyę, żeby nasze społeczeństwo tak upadło, iżby w nim się nie znaleźli tacy, coby się kochali w Irenie?

Appelstein milczał, bo mu język drętwiał w ustach, a pani Anastazowa teraz dopiero porzuciła swoją ofiarę, widząc w dali inną.

Bernard powstał i odszukał Bywalskiego.

— Mówiłeś mi — syknął — że w świecie nic nie mówią, a tu...

— Co?

— Mówią, mówią, mówią...

— Co mówią?

— O mojej żonie i Korońskim, o mojej żonie i księciu.

Bywalski spojrzał w oczy bankierowi i zataił śmiech, który go porywał na widok wzburzonych rysów Bernarda.

Pomyślał, wziął go pod ramię, i prowadził przez tłum, aż znalazł Irenę.

— Pani Ireno! Przyprowadzam ci Bernarda, którym miota zazdrość.

— Zazdrość?

— Zazdrość o księcia i Korońskiego.

— Myślałam, że o pana — zaśmiała się Irena — i to byłoby mniej głupie.

Ale spostrzegła, że mąż jej rzeczywiście znajdował się w anormalnym stanie.

— Mój Bernardzie—rzekła — musisz być zanadto szczęśliwy, by sobie wyszukiwać przyczyny trosk. Nie kompromituj się wobec mnie szczególnie. Gdybyś był zazdrosny o mnie, musiałabym cię uważać za nie bardzo mądrego. Zapomniałeś, com ci przyrzekła raz...

Podbiegła dalej, bo ją ktoś wołał.

A Appelstein w jednej chwili wypogodniał. On rzeczywiście nie był mądry. Podejrzewać Irenę, co mu oddając swą rękę, powiedziała, że będzie uczciwą

żoną... On doskonale pamiętał, to przyrzeczenie Starżówny. Ale cóż miał począć, gdy go trawiła zazdrość, teraz się w nim budząca i jeszcze rozbudzana? Im więcej ją widział otoczoną, tem mniej mógł wierzyć, by jego miłość jej wystarczyć mogła.

Choć mu się z drugiej strony czasem zdawało, że Irena codzień głębiej do niego się przywiązywała.

XVII.

Ale pani Anastazowa jeszcze nie miała dosyć. Tę pulchną blondynkę lat trzydziestu kilku irytowała egzystencya Appelsteinów, tak świetna, tak błyskotliwa—ta pozycya, do jakiej nigdy dojść nie mogła, mimo swego dowcipu i rozumu, o tyle wyższego od gąbkowatego „*genru*“ Ireny, jak sądziła, mimo iż była Krajkorońską z domu.

Nie opuszczała też recepcyi, bo każda minuta służyła jej do przeprowadzenia jednego ze swych rozlicznych planów, zmierzających do tysiąca światowych celów.

Zbliżyła się do Ireny.

— Moja droga pani — rzekła ze swym swobodnym i rozbawionym uśmiechem na ustach — od da-

wna pragnę z tobą wymienić słów kilka... Matka pani jak się miewa?

Usiadły obie na szezlągu. Tłumy bowiem się przerzedzały i Irena czuła się zwolnioną z robienia dalszych honorów domu. Wszak każdemu już prawie powiedziała coś uprzejmego, każdemu podziękowała, każdego zachwyciła.

— Matka moja ma się dobrze... Nie widziałam jej oddawna... ale Ewelina...

Pani Anastazowa się poruszyła na krześle. Ona jednej rzeczy nie umiała—to jest, nie umiała długo czekać z pociskiem przygotowanym do wypuszczenia.

— Powiedz mi droga pani—rzekła tajemniczo—a będąc tak dobrze z matką pani, kochając tak panią, mam prawo do tego pytania. *Nest-ce pas?*

— Ah! *oui*...

— Czy to prawda, że matka pani nie była jeszcze u was od ślubu? Mówią o tem głośno, *on jase, on combine*. Mnie się temu wierzyć nie chce. To przecież...

— Owszem, rzeczywiście—podchwyciła posmutniała nieco Irena.—Tak jakoś się to składało. Mama w zimie wyjeżdżać nie lubi. My przez te ostatnie lat cztery jeździliśmy po świecie... Nadto Edwardowie mamy nie wypuszczają. Prócz tego, nie uwierzysz pani *comme maman baisse*...

— Jakto?

— Zestarzała się. Uległa apatyi graniczącej z obojętnością, która podobno jest zwykłym apanażem starości.

— Przecież nie jest tak starą?

— *Pourtant.*

— I teraz, teraz, po chorobie pani?...

— Ah, wiedziała że nie będę zaniedbaną... Bernard...

— I nie ciekawa poznać wnuczki?

— Owszem—jąkała się Irena blada, smutna, jak gdyby może najgłębszej jej rany dotykano.—Owszem, spodziewam się mamy i Edwardów.

— Ale *a propos.* Cóż jest w tem prawdy, co mówią... *Vous savez, je vous aime tant, tous les* Starża, że interesa Edwardów źle stoją.

— *On en parle?* — zapytała Irena, otwierając oczy jak zastraszona sarna.

— Przebąkują... Nie przestraszaj się.

Z wysiłkiem ochłonęła. Znała świat o tyle, by wiedzieć, że w nim maska jest nieodzowną.

— Wie pani, Edward rzucił się *dans les affaires*, kupił dobra zakluczyńskie. Być może, że jest w trudnej pozycyi.

— Sympatyzujecie z panią Maryą?

Irena milczała chwilkę. Ta kobieta brała ją poprostu na tortury. Otwierała jedną po drugiej, wszystkie rany jej delikatnego czułego serca. Zkądże ona je znała, by tak przechodzić je po kolei od najgłębszej do najmniejszej.

— Owszem... Ja lubię Maryę...

— Edward jest szczęśliwym?

— Oh! sądzę... Przecież to było małżeństwo...

— *Oh! oui, un mariage d'amour, absolument!* ale...

— *Ils se conviennent...* — bełkotała Irena, czując że kompromituje sprawę swojem zachowaniem się przed takim sędzią śledczym, ogarnięta tą trwogą osób słabych, gdy im się przypomina bóle i nieszczęścia.

— Bo ja, droga pani, wtedy, lat temu cztery, o ile byłam szczęśliwa z twego wyboru... *Monsieur Bernard, quel excellent homme!*

— Oh! tak...

— O tyle nie byłam zadowolniona z wyboru Edwarda. *Les* Kinińscy... Kinińscy nigdy nie mieli moich sympatyi.

Irena milczała. Nie dała się porwać tej szczerości, którą zwykle sprytni biorą na lep dobrych, ale pani Anastazowa miała już dosyć. Choć Irena mało mówiła, ona się dużo dowiedziała, bo ona niepróżno szesnaście lat liczyła się do stałego świata warszawskiego i umiała czytać w minach, oczach, pomięszaniach i dykcyi. Wstała.

— *Au revoir chère madame Irène.* Cóż to za szczęście, że nam powróciłaś... Te soboty, te soboty! Cóż za myśl miałaś! Ja wzięłam czwartki. Gdy będziesz pisać do matki, *mille choses de ma part...* A o czwartkach nie zapominaj.

Irena już się opanowała.

— Czwartki! któżby o nich zapomniał? One stanowią epokę tej zimy. Mówiono mi, że gromadzi się u pani *la crême des crêmes.*

— Oh! — zaśmiała się pani Anastazowa, która właśnie pragnęła czwartkom nadać charakter arcyarystokratyczny, gdy spostrzegła że w innym charakterze nie wytrzyma konkurencyi z panią Appelstein.

Wkrótce Irena została samą. Mężczyźni poszli się przebierać do obiadu, Bywalski wybiegł na miasto, by zatelegrafować do Edwarda, nałożyć frak i powrócić do pałacu Appelsteinów. On prawie zeń nie wychodził, był nieodzownym towarzyszem Ireny, która w nim niejako widziała łącznik z przeszłością, za którą widocznie tęskniła, skoro łącznika wciąż potrzebowała. Bywalski jej przypominał dom, rodzinę, tę zimę, spędzoną w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej, w tym domu, z którego przeszła do tego pałacu. Nie mogła się obejść bez Bywalskiego, a cóż dopiero dzisiaj, gdy on był pośrednikiem między nią a wciąż ukochanym Edwardem.

Miała się ubierać do obiadu, gdyż Bernard wymagający *grandes toilettes* do stołu, znalazł tę suknię białą ze srebrem tak gustowną i strojną, tak do twarzy, iż pozwolił na zatrzymanie jej.

Stąd też nię ubierała się i pani Jesiołowska i obie siostry zyskały w ten sposób godzinę czasu wyłącznie dla siebie. A nie trafiało się to im prawie. Obie się kochały, ale obie lubiły świat, w którym im było tak dobrze — czy wśród wonnych kadzideł admiracyi, czy dlatego, jak mówił Bywalski, tłomacz ich zamiłowania do świata, że dobrym ludziom wszędzie dobrze.

Pani Appelstein była uszczęśliwioną. Ona jeszcze podczas rozmowy z panią Anastazową postanowiła pomówić z siostrą. Ta chwila była po temu. Wrażliwa istota znów w jednej chwili przybrała zafrasowaną i zgnębioną minę, i zbliżając się do siostry, zapytała cicho:

— Czy wiesz, że Edward?

— Wiem! mówił mi Bywalski.

— Cóż na to mówisz?

— Nic! Podziwiam ciebie i Bernarda.

— Biedny Edward!

Pani Ewelina spojrzała na siostrę wyrazem dziwnie smutnym, jakby mówiącym „kto wie, czyś ty martwiąca się nim, nie biedniejsza od niego?" ale nie rzekła nic.

Irena podchwyciła.

— Muszę z tobą pomówić o jednej rzeczy, na której bardzo wiele cierpię, a której dalej już taić nie mogę, bo świat się w nią wmieszał.

— Świat? — zapytała prawie przestraszona Ewelina.

— Tak!

— Mów.

Dlaczego właściwie mama nie była dotąd u nas? Co, ty rozumiesz mamę? mamę?

Tu łzy stanęły w oczach Irenie, które widząc Ewelina, zacisnęła usta, by sama nie zapłakać. Po długiej pauzie odparła:

— Przecież wiesz, jak mama podupadła, jak ją wszystko męczy...

— Słyszę to od was, ale mi się nie zdaje...

— Gdyś widziała ją w lecie, była wyjątkowo dobrze, ale ja ją widziałam później. Wierzaj mi... mama dziecinnieje.

— Zdaje wam się...

— To przecież podobno dziedziczne ..

— No tak... mama jest inną, niż była, ale do zdziecinnienia jakże daleko? Zaledwie zobojętniała. Zresztą to mamy nie tłomaczy. Jest zdrową... Cóżby jej mogło szkodzić przyjechać do Warszawy i spędzić tu jakie parę tygodni. Mnie by tak uszczęśliwiła.... Choć nie to, to względy światowe, Bernard... Ja nie rozumiem, nie rozumiem. A ty rozumiesz, rozumiesz mamę? U ciebie była, była dwa razy.

— Rachuj, że ja siedzę w domu i jestem zawsze gotowa mamę przyjąć, gdy właśnie ona ma ochotę... — podchwyciła Ewelina naturalnie.

— No zapewne, to wzgląd. Ależ Zabuże nie leży tak daleko od Warszawy, to podróż żadna! Wagon salonowy Bernarda... Zresztą mama jest zupełnie zdrową .. Ale powiedz, czy ty rozumiesz mamę?

Ewelina znów umilkła. Głęboki smutek jej duszy, wywoływany słowami Ireny, malował się na jej obliczu, w pełnych współczucia spojrzeniach na siostrę. Ona wiedziała, dlaczego matka nie była jeszcze u Appelsteinów, ale czyż to niedomyślającej

się Irenie powiedzieć mogła? Nie, nie mogła ona i nie mógł nikt.

— Albo Edwardowie? — zapytała kobieta prawie bez łzy. — Edward przyjeżdża, gdy ma interesa. Marya... ach, nie uwierzysz, co przed chwilą wycierpiałam, ja co rodzinę tak kocham, że miłość zobopólną w niej uważam za najpiękniejszy i najwonniejszy kwiat ludzkości...

— Jak ty ślicznie mówisz! — zawołała Ewelina z uwielbieniem w głosie. — Jakże ty nie masz być kochaną i adorowaną? Ty mnie zachwycasz!

Wstała i uchwyciła w objęcia Irenę, która kończyła w płaczu.

— Anastazowa mnie napadła, żądając wytłomaczenia.

— Uspokójże się—szeptała pani Jesiołowska.— Ja dziś napiszę, ja to wyrównam. Mama musi lada dzień przyjechać...

— Ach Ewelinko! — zawołała z radością Irena, obsypując ją pocałunkami.

— Czemużeś wcześniej nie powiedziała, że cierpisz na tem — tu głos jej się wzburzył. — Czemuż jesteś taką głupią z tym Edwardem?

— Jakto? — zapytała ze zdziwieniem.

Ewelina się zmiarkowała.

— On powinien być u nóg twoich, on powinien być na każde twoje zawołanie, on powinien... — mówiła z rozdrażnieniem, którego Irena u niej nie pamiętała *á propos* brata.

— Dlaczego? — zapytała z jeszcze większem zdziwieniem.

Ale Ewelina już nie rzekła nic. Jeszcze raz przytuliła siostrę do łona uściskiem namiętnym niemal, i szepnęła:

— Ach, jakaś ty dobra! Co ty w życiu cierpieć będziesz. Co ty cierpieć musisz?

Irena się uśmiechnęła.

— Ja cierpieć? Czyżby to znać po mnie było?

— Więc nic nie cierpisz? — zapytała poważnie i znacząco pani Jesiołowska, obejmując ją spojrzeniem idącem do dna duszy, świdrującem w jej głębiach tak, iż je zrozumiała siostra. Rozpłakała się strumieniem łez, ale w jednej chwili zapanowała nad sobą.

— Ach! Ewelinko! — szepnęła—nie patrz nigdy tak na mnie. Sekretem szczęścia jest nie zastanawiać się nad sobą.

Byłyby może jeszcze długo mówiły, ale Luccani roztworzył podwoje na oścież i zawołał głosem, który poprostu zabolał obie kobiety:

— *Le monde est réuni dans le jardin d'hiver Madame sera aussitôt servie.*

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

			Rs.	kop.
Dzisiejsze małżeństwa	1	tom	1	80
Jeszcze małżeństwa	1	„	1	80
Wilma	1	„	1	80
Hrabia-Starosta	2	„	3	60
Jędrzek	1	„	1	20
Linoskoczka	1	„	2	40
Wczorajsi, Serya I	1	„	1	50
Wczorajsi, Serya II, 1896	1	„	1	50
Nokturn Szopena	1	„	1	20
Tajemnica	1	„	1	20
Z różnych pułków	2	„	2	40
Zięciowie domu Kohn et C-ie II wydanie	2	„	3	—
Nera Polacca, 1895	1	„	2	—
Swąt, 1895	1	„	1	80
Hrabina, 1895	1	„	2	—
Aktorka, 1896	1	„	2	—
High-life,-Doktor, 1896	1	„	2	—
Przy naszych dworach, 1895	1	„	2	—
Rezydenci, 1896	1	„	2	—
Ostatni, 1896	1	„	2	—
Historyczne To i Owo 1896	1	„	2	—
Niedyskrecya 1896	1	„	2	—
Panna Starzyńska 1896	1	„	2	—
Odrębna istota 1896	1	„	2	—

POD PRASĄ:

Kaprys hrabianki.
Chłop.
Portret.
Parafianka.

Skład główny u G. Centnerszwera,

Warszawa, Marszałkowska 143.